ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 39
WARSZAWA
DNIA 28 WRZEŚNIA 1913 R.

ROBERT VLERICK.

Tęsknota za prostotą, za syntezą — jest tęsknotą wieku naszego. Przez nią to artyści sztuki młodej dają się unieść powrotnej, a wiecznie młodej fali klasycyzmu, szukając w Egipcie i Grecji żywego wciąż ideału piękna. I czy to będzie zamiłowanie do poezji Moréasa, Claudela czy Paul Forta, czy zdążanie w rzeźbie śladem Maillos'a lub w malarstwie rozwój sztuki w kierunku Cezanne'a—właściwie będzie w tym wszystkiem jedna łączna idea i pod różnymi formami — odbicie wytwarzającego się ideału piękna danej epoki. Tak poezja bowiem jak i sztuka, pierwsza—z pomocą abstrakcji wyrazu, druga z punktu widzenia plastycznego jest właściwie skoncentrowanym wyrazem formy życia danego okresu, a zadaniem artysty i poety — wynalezienie coraz to nowego ujęcia jego zjawisk. Stąd związek między sztuką, poezją, literaturą, nawet filozofją danej epoki — konieczny i widoczny.

Dążenie do klasycznego spokoju formy, do syntezy, a tym samym do wyeliminowania się z realizmu życia ku abstrakcji — jest * jak to powiedzieliśmy już znamieniem naszej epoki.

W danej chwili przedstawicielami rzeźby syntetycznej we Francji są: Maillol, Despiau, Jane Poupelat, Marcel-Jacques wreszcie Robert Vlerick.

Vlerick — to uczeń Lucjana Schnegga. Wziął odeń surowy pogląd na zadanie sztuki wogóle, piękne, szerokie ujęcie, poszukiwanie formy pełnej, skończonej.

Prace swe buduje on z pietyzmem — plan za planem, płaszczyzna za płaszczyzną, łącząc je ze sobą ścisłym rysunkiem, oczyszczając ze zbędnych szczegółów, zdążając przez analizę ku prostocie syntezy.

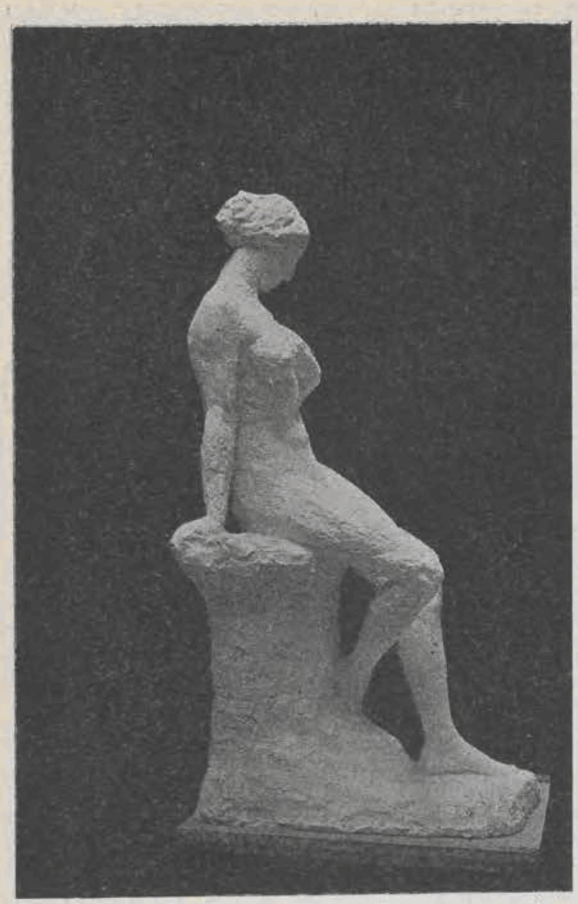


Robert Vlerick. Główka dziewczynki.

Prostota jednak jego, to — nie łatwe uogólnienie, nie suchy intelektualizm teorji powierzchownie przystosowany: — to istotnie zbożne dążenie do szlachetności formy.

Punktem wyjścia jego zawsze będzie natura, — więc też piękne, pełne charakteru są jego portrety, a studja ciała kobiecego mają linję miękką, a grupowanie swobodne.

Przez umiejętne ustosunkowanie pla-



Robert Vlerick. Studjum.



Robert Vlerick. Młodość.

nów nadaje on rzeźbie swej kolor, harmonizuje grę światła, podnosząc tym ogólny wyraz.

Załączona tu główka młodego dziewczęcia ma piękną czystość linji, jest w niej duchowem pokrewieństwem z mistrzami wczesnego włoskiego renesansu, czyni wrażenie wątłego kwiatu, kołyszącego się na wydłużonej przecudnie łodyżce szyi. Całość zda się zbyt delikatną i wątłą dla życia.

Vlerick pracuje dużo. Dał w roku obecnym kilka poważnych prac do Salonu Marsowego. Wśród nich zwracała uwagę załączona tutaj figura młodej kobiety w postawie siedzącej; również kilka silnych, pełnych wyrazu portretów męskich. Jako artysta należy on do najpoważniejszych przedstawicieli młodej sztuki.

Wacława Kiślańska.

O ŚWICIE

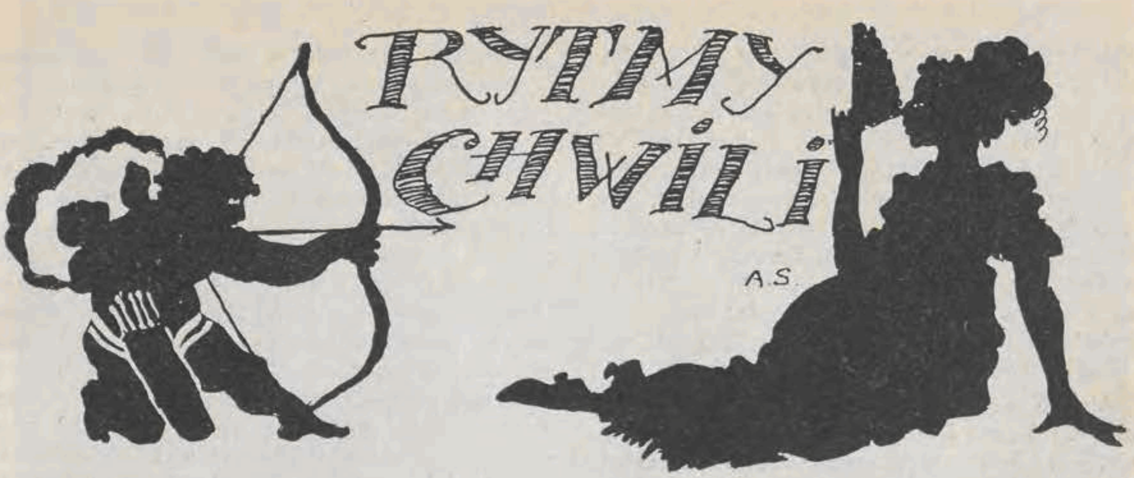
Dym, kiedy wiatrem gnany w nicość się
[obraca,
Ptactwo, które świergotem zwiastuje świtanie,
Słońce, gdy szczyty domów milczący pozłaca,
Drzewa, kwiaty i dzwonów jednostajne granie,

Dym, ptactwo, słońce, kwiaty i dzwony,
i drzewa —
Wszystko na tle tych domów obumarłych we
[śnie,
Jak pobudka bojowa w mem sercu roz-
[brzmiewa
I gra echem, przeciągle, długo a boleśnie...

I ja, mieszkaniec ulic, odrodny syn miasta,
Iżem ukochał przestwór i losy tułacze,
Nad czasem, co uchodzi, żalem, co wciąż
[wzrasta
I nad szczęściem skalanem — jako dziecię
[płaczę.

Czyżem nie jest rycerzem bez tarczy i zbroi,
Szaleńcem, który zamki buduje na lodzie —
Drzewem, co pośród pola zapomniane stoi,
Cieniem, który przemija i falą na wodzie?

Zdzisław Milner.



Październikowcy ogłosili deklarację, w której reasumując prace stronnictwa w ubiegłej kadencji Dumy, jednocześnie czynią próby wytknięcia taktyki swojej na przyszłość. Deklaracja odgradza się z obu stron, tak od strony prawicy, jak kadetów. W Petersburgu jednak mówią o bloku październikowców z postępowcami. Na Koło Polskie deklaracja nie zwraca uwagi, jako na grupę znikomą ilościowo...

Zjazd niemieckiej S.-D. w Jenie zakończył swe posiedzenia. Tryumf odnieśli rewizjoniści głosujący za zbrojeniami. Na silną krytykę ze strony nieprzejednanych, poseł David oświadczył:

— „Ci, którzy są w błędzie, są głupcami."

Kurz und gut!

Niemiecka Socjal-Demokracja, która kurcząc swoje *S*, a powiększając *D*, coraz bardziej przeistacza się w demokrację umiarkowanych piwoszów, coraz mniejsze niebezpieczeństwo przedstawia dla rządu.

Niema potrzeby zakazywania zjazdów socjalistycznych z racji choleryny (z tego to właśnie powodu jeden z nich został zakazany w Bukareszcie), gdyż w celach profilaktycznych niemieccy socjaliści stosują racjonalnie wodę imienia swoich panujących.

Któż nie wie, że p. Dmowski lubi udawać... męża opatrznościowego. Samochwalstwo, arogancja i wytarte czoło nie opuszczały ani na chwilę tego męża stanu.

Posłuchajcie ino wynurzeń p. Dmowskiego w petersburskim „Dniu":

„Dotychczas cała prasa starała się pisać o żydach, jako o obywatelach polskich; dotychczas w kraju był tylko jeden organ antysemicki, wiodący opłakany żywot. A teraz, proszę spojrzeć, cała prasa jest antysemicka, *stworzona zaś przeze mnie* „Gazeta 2 grosze" ma 70.000 nakładu. *Powtarzam, ja przyczyniłem się do przemiany poglądów* w społeczeństwie polskiem i twierdzę, że teraz o asymilacji nie może być mowy".

...Stworzona prze mnie... ...Ja przyczyniłem się... „Cała prasa..." „Twierdzę..." O Malbruku niecny! O Müllhausenie nieszczęsny! O Zagłobo niepoczciwy... Wstydziłbyś się... Gdyby jakiś fundator lupanaru chwalił się, że *jego* zasługą jest prostytucja jako zjawisko społeczne, że pornografja jego wynalazkiem, zapewne nawet pensjonarka, udająca że nie rozumie tych przechwałek, pociągnęłaby łgarza za połę...

Zaś co się tyczy licznej klijenteli ??...

Ba! takie „powodzenie" ma swoje dawne solidne, ustalone tradycje.

Z „opłakanego żywota jedynego organu antysemickiego" nieboszczyk ś. p. Jeleński pobudował domy.

Niejasne i sprzeczne depesze o katastrofie na kolei warszawsko-wiedeńskiej utrudniły zrozumienie okoliczności, towarzyszących temu wypadkowi. Padł jeden tylko wyraz, który powtarzano: *Osły!!*

Niewiadomo było w istocie, czy dotyczyła ta informacja wiezionych czy wożących.

Zgodnie z późniejszemi wiadomościami stwierdzono, że rozbiły się wagony z osłami transportowanemi z jarmarku łowickiego. Członkowie zarządu kolei, którzy udali się na miejsce katastrofy nie ucierpieli.

WIECZÓR JASIA.

Ponieważ widowisko uroczyste z okazji rocznicy Korzeniowskiego, odbyło się punktualnie o 3½ p p. — więc tatuś zaprowadził Jasia do teatru Małego, aby pokazać mu „Złote kajdany" w blasku kinkietów.—Trzeba się zachowywać poważnie, jak przystało na chłopca, który rozumie całą doniosłość wpływu, jaki Korzeniowski wywarł na piśmiennictwo nasze — zapowiedział Jasiowi ojciec. A Jasio westchnął głęboko i zmarszczył czoło, na znak, że wszystko to w zupełności podziela.

Jaś siedział w pierwszym rzędzie krzeseł i dusił się ze śmiechu.

Proszę nie sądzić, broń Boże, że to dowcipy poety Heljodora wprawiały Jasia w tak dobry humor. Nie! Jaś nigdyby nie odważył się śmiać z tego, co deklamuje biedny poeta, Heljodor; był na to zbyt dobrze wychowany, aby nie-

przystojnym chichotem mącić uroczysty nastrój rocznicy. Jaś śmiał się z dekoracji, przez które widać było kulisy, z odrapanego nieba, na którem, jakiś widocznie górnolotny figlarz, wywiercił wielką, okrągłą dziurę. Zresztą ten pan Korzeniowski tak to wszystko wesoło napisał. No, bo proszę sobie wyobrazić, że stary, samotny kawaler wygrywa trzy miljony rubli i żeni się z bardzo wesołą dziewczyną. Potem zrobiło się jasno i spadła kurtyna, a Jaś zjadł dwa wafle czekoladowe i napił się lemoniady. Tak pięknie, tak wesoło było!

Ale po antrakcie! Wszystko się zmieniło radykalnie. Ten pan Korzeniowski wpadł w wściekły gniew. Nad głową wzbogaconego bohatera sztuki jęły walić pioruny. — Pieniądze lekko nabyte, mszczą się! — wołało coś ze sceny. Jaś siedział i drżał, jak osika. Jaś był przerażony, miał łzy w oczach. Jaś przez cały czas był duszą po stronie pięknej choć złej Salusi i poety Heljodora, Jaś gardził brudnem, brzydkiem ubóstwem.

Tego wieczoru Jaś poraz pierwszy dowiedział się jak wygląda anioł. Anioła wyobrażał stary, poczciwy kawaler, który przebudził się z ciężkiego snu o bogactwie do poczciwego, nudnego ubóstwa swych samotnych dni, do cichego szczęścia, wyrażającego się w postaci barszczu z uszkami. Morał sztuki — według Jasia, brzmiał następująco: Dobrzy są biedni i miłują spokojne szczęście. A szczęście to dają smaczne obiadki w zacisznym pokoju, zdala od świata, od ludzi.

W nocy przyśniła się Jasiowi zła córka — Salusia. Ta sama Salusia, którą pan Korzeniowski uważał za djablicę.

Znajdowała się na balu w otoczeniu poetów i malarzy, w tłumie pięknie i bogato ubranych panów. Meble złociły się wkrąg i wielkie żyrandole rozsiewały wesołe, cudowne światło. A pan Korzeniowski z bokobrodami, stał na stronie i grobowym głosem powtarzał: Biada! Biada!

Jaś miał wielką ochotę krzyknąć mu, aby sobie poszedł. Ale nie śmiał tego uczynić, przez wzgląd na pięćdziesięciolecie, jakie upłynęło od śmierci tego, jak mówił tatuś „znakomitego pisarza“... *(a)*

Czesław Jankowski w „Kurjerze Warszawkim“ opowiada o Menschla kulinarnej podróży dookoła świata. Nie sądźcie, że p. Czesław Jankowski należy do tego dosyć rozpowszechnionego w Polsce „typu“ literatów, którzy w porze obiadowej szeroko *piszą* o jedzeniu Ach! skądże?! Było to chyba w okresie poezji o „dziewczynie" dwudziestu latach i t. d. Jak wiadomo: „witaj brzusiu, żegnaj... całusie“! Otóż Menschl, nowy po Molechocie teorytyk kulinarny, postanowił sobie: zwiedzić cały glob ziemski jedynie dla dowiedzenia się co ludzie... jadają pod różnemi szerokościami geograficznemi. A dowiedzieć się z jaką gruntownoscią! A opisać jak szczegółowo! Słusznie i sprawiedliwie nazwał dzieło swoje „zbiorem studjów kulturalnych i kulinarnych, dotyczących potraw i napojów narodowych, organizacji hotelów i restauracji, kawiarni i ludowych jadłodajni w Ameryce, Azji, Australji Afryce i Europie".

Impreza nie nowa. Pewien „szanowny kolega dziennikarz“ przedsięwziął podobną podróż w celu zbadania tego, co ludzie na świecie piją. Podróż ta odbyła się palcem na papierowej mapie Europy. Rozpocząwszy od wyimaginowanego Londynu, w którym „osobliwy podróżnik“ zażądał od restauratora wyobrażającego statek: *whisky i porteru*, kolejno postępując od paryskiego wina do berlińskiego piwa i moskiewskiej wódki, nasz poeta skończył na wycieczce... do Rygi!

„A i B“ Benedykta Hertza, komedjofarsa, wystawiona w Teatrze Nowym, nie doznała wielkiego powodzenia. Po świetnem piórze znakomitego bajkopisarza należało spodziewać się rzeczy lepszej... Zawinił tu zapewne charakter sztuki. Komedjofarsa jest mieszańcem nie posiadającym jednolitej wody, jeśli porównamy ją z kamieniem, lub rasy jeśli mowa o zwierzęciu. Satyra społeczna zabija w niej humor. Nie jest to zresztą satyra oskrzydlona i dotkliwa, zamało w niej krwi serdecznej. Sztuka silnie trąci dydaktyzmem i bezsilnością wobec bolączek społecznych. Autor niema na nie żadnej rady. Grano sztukę bardzo licho, wypadek rzadki u dyr. Śliwińskiego.



Rysował A. Świdwiński.

W CZAS NAWAŁNICY...

Nad Warszawą szaleje burza, jakiej nie pamiętano zdawna. Ustawiczne grzmoty sprzęgły się w głuchy, przeciągły poryk. Z czarnej, ziejącej beznadzieją i mrokiem otchłani chmur siepie deszcz. Łyskawice splotły swe trwożne i chybkie migoty w jedną przeraźliwą jaśń, świecąc *a giorno* do tańca wiedźm i zmartwychpowstańców.

Strach pierwotny wobec rozbestwionego żywiołu udziela się dzieciom i ptakom. Lęk modlitewny: Kyrie elejson; Chryste elejson!

Niby ranny lew ryczy nawałnica, przewala po niebie gromami, tysiącem piorunów zaklina się, że legenda o nocy rabinowej gdzieś, kędyś się prawdzi.

Kyrie elejson...

Spokojnie, w czas uczty żywiołów śpi sobie filister. Słodko roi. Kamienicy jego nic się nie stanie. Niech wszystkie naraz uderzą w dom pioruny, dach zapalą jasno i w popiół obrócą...

Rycz burzo! Grzmijcie żywioły!

Jego dom jest zaasekurowany.

Tej burzy nie boi się filister. Twardo śpi. Słodko roi. Inne go straszą nawałnice, zmory przeszłości.

Modlić się gotów, by nie wróciły, znacząc swe ślady krwią i wawrzynem.

Jedna jedyna modlitwa tedy pozostanie obcą nawieki otłuszczonej duszy filistra:

Boże! Bądź pochwalon za Twój nieprzenikniony Cud świata, iżeś się okrył tajnią,

a w serca ludzkie tchnął ukochanie wolności...

Wicher wywraca spróchniałe krzyże, rozmywa mogiły. W nich—mienie narodowe Polski. Lubił to mawiać Herzen.

— Oni, polacy ukryli swoje przywiązania najświętsze w grobach, my rosjanie mamy przed sobą puste koleby.

Czyliż pod krzyżami jeno kryje się skarb naszego życia, czyliż jeno w jękach wichrowych brzmi śpiew naszej przyszłości, czyliż wiara nasza tworzy cudy li w burzy czas i trwogi?

Wiek dzieli nas od tamtej pamiętnej historycznej burzy, wiek rozpoczęty pieśnią legjonów.

Pieśni tej sądzono było utonąć w pomroce akordów żalu. Zdusił ją rozpaczliwy szloch w suchych gardłach towarzyszów legji Dąbrowskiego, wysłanych na Haiti. Pod batem dozorców publicznych robót, w klimacie przepełnionym zabójczemi miazmatami, zdziesiątkowani przez żółtą febrę, półnadzy, wynędzniali konali z imieniem dalekiej ojczyzny w ustach... Szloch ten straszliwy idzie ku nam w szmernych lamentach burzy rozrasta się, olbrzymieje, łka jako niedoli polskiej ponury rapsod, memento groźne i wieczyste.

Tragizm tego obrazu, z którego spowiada się ziemi polskiej każda egzotyczna burza zagłuszyły kuszące obietnice pana świata: Los wasz w waszych jest ręku.

I raz jeszcze stają do apelu Kniaziewicz i Dąbrowski. Dopełnia się nowa zwrotka ballady... Pułtusk, Gołymin, Eylau, Friedland, pokój w Tylży, Księstwo Warszawskie... Samosierra, Raszyn... Srebrny i amarantowy sen, wreszcie wojna 1812, i... zachód nadziei.

Osiemset trzynasty... Łanskoj jeszcze w kwietniu ustanowił w imieniu Aleksandra I najwyższą radę w Warszawie. Twierdze Modlin, Zamość, Częstochowa jeszcze mają załogi polskie. W czerwcu rozpoczyna się znowu wojna, która 14 października przyniesie Ks. Józefowi pod Lipskiem tytuł marszałka i zimny całunek śmierci złoży na jego ustach w falach Elstery.

. . . .

Były to ostatnie czasy bohaterstwa. Spadkobierca tej epoki człek dzisiejszy i zdrowy pozytywista z powołania nie ulegający „fantazjom pajdokracji“ na swój sposób zrozumiał hasło Napoleona: „Los mój w moim jest ręku“, — podwyższył lokatorom komorne... i tem zwiększył polski stan posiadania. To jego zwycięstwo. Twardo śpi w czas burzy, snem człowieka cnotliwego... Czy we śnie marzy?

Czy spomina? — Cicho, spokojnie leżcie sobie w grobach, szaleńcy, bądźcie grzeczni, zgotujemy wam obchodzik narodowy, legalny, przyzwoity, obchodzik godny waszych twardych głów podziurawionych kulami, — cicho, grzecznie, spokojnie leżcie — rogate dusze i gorące głowy.

Blade kościste palce zawieruchy gniewnie szarpią struny kosmicznego organu niebios...

Harfy drzew wyją żałobny hymn Chopina, gwiżdże na tatarskiej piszczałce uroczystą pieśń wicher, raz po raz warczą bębny grzmotów. Burza oddaje poległym groźne wojskowe honory.

. . . .

Przy sprawnym działaniu motoru i dostatecznej ilości benzyny kpię sobie z burzy. Od takich impertynencji poczyna sobie wiek dwudziesty, nasz wiek, wiek demokracji. Śmiały i czujny lotnik z burzą puszcza się w zawody, z gniewu i rozpaczy żywiołów robi sobie igraszkę, prześcignął towarzysze swe orły, zmógł czarne przesycone elektrycznością chmurzysko i buja sobie na wysokości 2000 metrów ponad grzmotami...

Ten-ci odczuwa radość burzy, rozkosz zawrotną szybowania, upojenie wyżyn... Szarawo dokoła. Obłoki na dole... Miarowo stuka aparat. Furkota śmigło.

Przy sobie ma barometr, barograf i kompas, zerka na nie od czasu do czasu, a że na dole sroży się burza, miałbyż uwagę na to zwracać? Może o tem w tej chwili nawet nie pamięta.

I nudzi się...

Jerzy Jankowski.



Z wielkomiejskich motywów

Rysował A. Świdwinski

„Dusza współczesna“.



Cecylja Walewska.

Po „Koleżance Stefie“ z krwawych dziejów rewolucji przeszło zamiłowanie pisarskie Cecylji Walewskiej do wielkich zagadnień i twórczości i szarego życia, wobec dwuch potwornych znaków zapytania, z których jednemu na imię — Sława, a drugiemu — Serce. Dlaczego powieść o tragicznem dziecku przeznaczeń, Janinie Mirskiej, i towarzyszu jej na ofiarę zmienionego życia — nosi tytuł: „Dusze współczesne“ — nikt chyba jasno nie zdoła sobie tego uprzytomnić. Bohaterka powieści jest prawie bezcielesna, niby duchowa treść wyrazu: genjusz jak wcielenie fantastycznego ideału artystki—kapłanki Piękna, wolnej od ziemskiego brudu, w szlachetnem wahaniu, przeżywającej tragedję na rubieży miłości podniesionej do szczytu doskonałości, i równie czystej, a bezpośredniej Sztuki. Janina Mirska, córka przeczulonej, egzotycznie pięknej malarki i nieprawego ojca wchodzi w życie, z duszą przedwcześnie zasmuconą, z duszą, która w zaraniu swem ciężką żałobą się okryła... Mała dziewczynka urodzona w mistycznie niezwykłem otoczeniu, gdzieś na podniebiu, śród ścian obwieszonych obrazami matki ogląda niewinną ufnością oczu śmierć, która zabrała jej matkę na dziwacznem tle, niedającem się odcyfrować przez niewprawną jeszcze inteligencję— oszałamia się tępotą bólu i przedziwnej wrażliwości na zewnętrzne podniety, krzywdą swą sierocą i szałem buntu, krwawemi stosami płonącego w jej piersi.

Z dzieciństwa jej, tak niesamowitego, już odrazu widać, że jest ona pomazanką Bożą, że cały ów niepokój trawiący ją w głębi — to zarzewie talentu, które kiedyś wybuchnie ogniem nieziemskim, że krwawe męczeństwo serca małej Janinki — to rwanie się tęskne poza siebie do celu spełnienia wielkich dzieł, jeszcze nieuświadomionych, a już przeczuwanych.

Przyszłość sprawdzi wszystkie te domysły. Janina Mirska staje się bożyszczem tłumów, wielką aktorką, o niedościgłej skali talentu, budzącej w widzach spazm zachwytu i w uroczystych chwilach najwyższego uniesienia wynoszącej iskry ducha, z każdej ludzkiej istoty od najmędrszych do prostaczków. Ale w Janinie Mirskiej budzi się człowiek. Niesądźcie jednak, że powstały w niej zwykłe żądze, od których wzbiera pierś dziewicza, że krzyczą przez nią głosy instynktów, tych przyrodzonych władców człowieka. Tak dzieje się w życiu, ale nie w... literaturze. Pani Cecylja Walewska przysięgła się na wszystkie rozdziały swej książki, że głód kochania jaki odezwał się w duszy Janiny Mirskiej, potęgą swą dorównywa talentowi, że w tem samem, tajemniczem misterjum serce i sława (t. j. owe dwa znaki zapytania) podały sobie bratnie dłonie. I oto Mirska spotyka człowieka, który odrazu posiadł ją całkowicie, władczą rękę odciągnął od ołtarza sztuki, ze siebie czyniąc kult najwyższy, jedyne ujście dla genjuszu bezsilnie w Janinie Mirskiej rozpaczającego. Człowiekiem tym jest nieużywający tytułu, hrabia Zdzisław Malecki, demokrata niweczący stare hasła, a jednocześnie Hamlet atawizmu, znudzony uciechami życia, jak rzymski imperator na schyłku potęgi. Z tym symbolicznym hrabią Maleckim Janina Mirska ucieka w świat, aby odtąd w zupełności poświęcić się ziszczeniu „egoistycznych“ pragnień, przez miłość nieogarnioną jak morze, przez miłość — prawie boską. Zaczyna się wkrótce dramat. Dwie potęgi słarły się ze sobą. Miłość walczy z powołaniem, a tymczasem siły bohaterki słabną. Zjawiają się obowiązki żony, matki, niewidzialna sieć odgradza ją od możliwości powrotu do dawnego życia. W Maleckim, który usiłował podporządkować induwidualizm żony swemu despotycznemu ja, otwiera się krater twórczości i gorąca lawa wylewa się przezeń. Hrabia Malecki opuszcza żonę i jedzie w świat, aby tam kształtowanie ducha swego doprowadzić do końca.

I on staje się twórcą, i po pewnym czasie sam podaje pomocną dłoń żonie, aby podniosła się z tego błota powszedniości, w które ją zaślepiony — rzucił. Wielka pani — Sztuka — tryumfuje. Przezwyciężyła *człowieka*, w tych, co są prawdziwymi artystami. Mirska i Zdzisław szli w otoczeniu kabotynów i ludzi „utalentowanych“. I oto cały ten orszak pozostał w tyle, aby na jarmarkach życia, złote jabłka z ogrodu tworzenia, zmieniać na łatwe, codzienne rozkosze.

Czyż Mirska i Zdzisław, i ów apostoł kultów artystycznych — Sieński, i tylu innych z powieści Walewskiej, stanowi, zbiorowy symbol dusz współczesnych. Czyż duszą współczesną jest królewska dostojność Mirskiej?

Niechaj ogień, którym napisana została ostatnia powieść Walewskiej, zaćmi blaskiem niefortunną, tendencję autorki, tak biednie i szaro wyglądającą wobec ozdobnego, naprawdę artystycznego wykonania! Niech piękny, melodyjny język przesłoni mnogość luk psychologicznych, w malowaniu wnętrznej struktury opisywanych osób!

Jakób Appenszlak.

Wobec zagrożonego zdrowia ludności.

Po okresach zachwiania ekonomicznego, po klęskach żywiołowych weszliśmy w nowy okres— chorób epidemicznych, które się rozwijają z taką gwałtownością i rozlewają się tak szeroko, że aż zaczęto bić na trwogę. W Warszawie wybuchła niepamiętna w rozmiarach od lat trzydziestu szkarlatyna. W niektórych zaś miastach i miasteczkach szerzy się złośliwa dysenterja, przynosząca prawie tyle zachorowań, ile daje cholera. Tu i owdzie panuje również tyfus brzuszny. Nie dość tego! Stoimy wobec widma cholery, która z Bałkanów przedostała się z jednej strony do Odesy i już do Kijowszczyzny a z drugiej do Węgier, stamtąd zaś do Galicji.

Wobec tego należałoby już pomyśleć o jakichś radykalnych środkach zapobiegawczych. Tymczasem, oprócz zaniedbanej i opłakanej pod względem zdrowotnym Łodzi, która się zdobyła na pewien fundusz do walki z cholerą, żadne inne miasto lub miasteczko w kraju o tem jeszcze nie pomyślało. A przecież nigdzie niema gruntu tak podatnego do chorób zakaźnych, zwłaszcza na tle zaburzeń żołądkowych, jak właśnie w naszych miastach i miasteczkach, które urągają najelementarniejszym wymaganiom bezpieczeństwa względem zdrowia ludności.

Uprzytomnijmy sobie tylko niektóre warunki stanu hygienicznego naszych miast i miasteczek:

Jednym z zasadniczych warunków zdrowia jest dobra woda i kąpiel. Tymczasem olbrzymia większość naszych miast i miasteczek jest pod tym względem w położeniu opłakanem. Oto np. jak wyglądają miasteczka w Lubelskiem, według relacji naocznego świadka:

Wprawdzie niemal we wszystkich miasteczkach istnieją łaźnie żydowskie, ale są one tak liche i obrzydliwe, że odstręczają od siebie nietylko tych, którzy mieli sposobność poznać łaźnie wielkomiejskie, ale nawet najniewybredniejszych, którzy żadnej innej łaźni nie widzieli. To nie miejsca do pozbycia się brudów i niedomagań ciała, lecz do nabywania wrzodów, do nabywania się kaszlu i kataru, wreszcie do nabycia robactwa. Bywają bowiem one takie, że oprócz właściwej ohydnej łaźni, niema przy niej jakiejkolwiek izby do rozbierania się, lecz wszystko tam się odbywa, a wodę zimną musi sobie każdy nosić z zimnej sieni, wprost ze studni. Ciepłej wody jak na lekarstwo.

Woda do picia przeważnie jest niedobra. Jeżeli jest zdatna do picia z natury, to znowu jest niedobra z powodu zanieczyszczenia studni. W nizkich miejscowościach nad rzeczkami są tak zwane „stoczki“ z wodą dobrą. Zastępują one studnie; ale nizinne położenie tych wód bardzo sprzyja ich zanieczyszczeniu przez ścieki deszczowe, przepełnione wszelkiemi obrzydliwościami miasteczka. Każde wezbranie rzeczki zalewa taki stoczek wodą zanieczyszczoną. Nadto, stoczki zawsze mają cembrowinę płytką a dokoła niej — błoto. Napędzają tam do pojenia konie i bydło, skutkiem czego błoto głęboko miesza się z gnojem i spływa do wnętrza stoczka. Wszyscy czerpią wodę naczyniami, z któremi przychodzą, te zaś w bardzo wielu razach bywają wprost ohydne: błoto i gnój lepią się na nich. To też woda w stoczkach, pomimo odpływu, podczas dnia zamienia się w gnojówkę i tylko w nocy lub wczesnym rankiem bywa czysta.

Takie opłakane warunki, nieczystość ulic i mieszkań, brak kąpieli i zdrowej wody do picia i wiele, wiele innych warunków, gwałcących najelementarniejsze zasady zdrowotności, szerzą bez przeszkód choroby wszelkiego rodzaju, które wytwarzają charłactwo i mnożą wielką śmiertelność, szczególnie śród dzieci.

W takicha warunkach nawet istnienie pomocy lekarskiej nie na wiele się przyda. Zresztą w większości naszych miasteczek pomoc lekarska jest bardzo niedostateczna, lub nawet brak jej zupełnie. Często miasteczka, liczące nawet do 5,000 mieszkańców, nie posiadają wcale lekarza a mieszkańcy muszą szukać go o kilka mil. Lekarz taki, zamieszkały zdaleka, musi być przytem znacznie droższy, niż ten, gdzie go na miejscu można znaleźć. W takich warunkach z pomocy lekarskiej mogą korzystać tylko ludzie zamożniejsi; ale i ci nawet, przy fatalnym stanie dróg, szczególnie jesienią i na wiosnę, prawie wcale nie mogą korzystać z pomocy lekarskiej, albo w najlepszym razie muszą za nią drogo płacić. Oczywiście, gra tu ważną rolę nie samo honorarjum lekarskie, lecz koszt sprowadzenia i odesłania lekarza.

To też nic dziwnego, że ludność uboższa uciekać się musi do felczerów i znachorów.

Stara to sprawa, odwieczna klęska, o której od lat kilkudziesięciu każdy korespondent pisze z różnych zakątków kraju. Głosy te dotąd jeszcze są pustem echem, pomimo, że przez ten czas powstały już instytucje społeczno-lekarskie, które mogłyby przedsięwziąć akcję zbiorową.

Szpitalnictwo prowincjonalne również jest w stanie opłakanym. A przecież do niezbędnych i *nagłych* potrzeb *oddawna* już zaliczono zakładanie choćby najmniejszych, o paru łóżkach szpitalików, których, z wyjątkiem miast powiatowych, brak powszechny we wszystkich miasteczkach. Brak ten jest tem dotkliwszy, że ludność miasteczek składa się w znacznej części z nędzarzy, podlegających różnym chorobom. Ci zaś stanowczo nie mogą i nie powinni leczyć się w domu, ze względu na ciasnotę, brak powietrza, brak środków do życia i — straszne niechlujstwo, jako wynik nędzy i ciemnoty.

Mówiąc o sprawach hygienicznych naszych miast i miasteczek, nie można pominąć jednej z nich, niezmiernie ważnej, którą dr. Tchórznicki jeszcze w r. 1896 w osobnej książce zaliczył do *najpilniejszych:* urządzenie rzeźni. Dotąd prawie żadne miasto i miasteczko, z wyjątkiem Łodzi, nie posiada rzeźni odpowiadającej przy-

najmniej elementarnym zasadom hygieny. Oczywiście chodzi tu o takie urządzenie, które ma na celu nietylko zabijanie zwierząt, z zachowaniem odpowiedniej czystości, ale zarazem przeciwdziałanie zabijaniu sztuk chorych. Tymczasem, jak stwierdził dr. Tchórznicki z doświadczenia, prawie wszystkie mięso, jakie się sprzedaje w miasteczkach, pochodzi ze sztuk chorych, zdrowsze bowiem jeszcze mogą dojść do Warszawy, więc zabijać ich na miejscu niema żadnej racji. Gdy się zdarzy sztuka stosunkowo zdrowsza, to się zwykle „koszeruje“ i mięso rozkupują sami żydzi, chrześcijanie zaś zjadają sztuki chore.

Od czasu stwierdzenia takiego stanu rzeczy przez d-ra Tchórznickiego nic się nie zmieniło na lepsze.

A jak są urządzone te rzeźnie? — Samo wspomnienie—mówi cytowany przez nas autor—wywołuje przykre uczucie. Wyobraźcie sobie stary, lichy budynek, na czterech słupkach, nad brzegiem małego miejskiego kanału lub przed stawem. Stoi on, kto wie jak dawno: dach więc obdarty, podłoga zgniła a pod nią głęboki dół, wiecznie napełniony masą zgnilizny. Tu zdaleka uderza woń krwi zepsutej. Inaczej być nie może. Do tego bowiem budynku przyprowadzają bydło na rzeź przeznaczone. Rzeźnik uderza wołu czy krowę obuchem między rogi, ogłusza, zarzyna; krwią oblewa się podłoga; tu zdzierają skórę i wyjmują wnętrzności. Krew a zarazem zawartość kiszek i wszelkie odpadki przez szpary w podłodze ściekają do dołu, mięso zaś rozćwiartowane odnoszą do brudnej izby lub stodółki i tam sprzedają. W dole, pod wpływem ciepła, krew i ekskrementy rozkładają się bardzo szybko i wydają woń straszną. Wkrótce lęgną się robaki w takiej ilości, że aż poruszają powierzchnię płynu. Lecz oto dół przepełniony; cóż tedy dzieje się? Przez wierzch przelewa się zawartość do stawu lub kanału i ścieka z biegiem wody, zanieczyszczając ją na znacznej przestrzeni; a ponieważ stawy i kanały takie są i bez tego zbiornikami wszelkiego rodzaju nieczystości, powiększa to więc tylko zawartość w wodzie gnijących części i ekskrementów.

Według przepisów obowiązujących, rzeźnik musi mieć świadectwo od sprzedawcy, że sztuka jest zdrowa. Oczywiście sprzedawca wyda takie świadectwo najchętniej, potem wójt gminy poświadczy i formalności te czynią zadość zwyczajom w zwykłych warunkach.

W miasteczku jest lekarz szpitalny, powiatowy lub prywatny, któremu idzie o to, by nie zatruwano ludzi w ten niecny sposób. Pisze więc odezwę do władzy, zaznaczając, że według § XIII-go T. K. Pr. Lek. Ust., sztuki przeznaczone na rzeź winny ulegać rewizji co do stanu zdrowia. Rozkaz wydany, ale rzeźnik spokojnie patrzy w przyszłość i jest przekonany, że to tylko formalność, którą obejść zawsze bardzo łatwo.

Któż ma budować rzeźnie w miastach i miasteczkach według wszelkich wymagań hygieny i bezpieczeństwa publicznego? — Powinny to być urządzenia miejskie w całem znaczeniu. Niestety! Gospodarka miast i miasteczek naszych kardzo szwankuje pod wielu względami.

Obowiązek utrzymania rzeźni miejskich włożono na magistraty miejskie prawie przed dziewięćdziesięciu laty, przyczem przeznaczono na ich założenie i utrzymanie 4% tak zwanej opłaty konsumcyjnej, pobieranej w obrębie każdego miasta. Następnie po zniesieniu opłat konsumcyjnych wyjaśniono dwukrotnie, że cały dochód z opłat na rzeź bydła w rzeźniach do miast należących, winien iść na korzyść odpowiednich kas miejskich.

Niestety! miasta i miasteczka nasze nie zajmują się wcale tą doniosłą dla zdrowia ludności sprawą. Zarządy te wogóle są u nas machiną bardzo słabą i nie odpowiadającą istotnym potrzebom. A jednak sprawy powyżej wyłuszczone są tak pilne i ważne, że niepodobna czekać nawet na ów samorząd obcięty, który pono otrzymać mamy.

Nie poruszyliśmy wielu innych spraw, nie wskazaliśmy wielu innych urządzeń i przedsiębiorstw na prowincji, które lekceważą zdrowie ludzkie; ale wystarczy i tego, cośmy zaznaczyli, ażeby poruszyć opinję publiczną w chwili nasilenia wszelkich epidemji lub ukazania się ich widma, bo z doświadczenia wiemy, że alarmy w takich chwilach, chociaż w drobnej cząstce bywają skuteczne. Gdy nie mamy samorządu, gdy stan gospodarki naszych miast jest opłakany, trzeba przynajmniej dążyć do jakiejś szerokiej akcji ratunkowej, chociażby dorywczej; do samoobrony i samopomocy społecznej w granicach możliwie najszerszych.

Zenon Pietkiewicz.

KONKURS.

Redakcja tygodników: „Przyjaciel Młodzieży“ (czasopisma dla młodzieży) i „Przyjaciel Dzieci“ (tygodnika dla młodszej dziatwy) rozpisuje dwa konkursy na okładkę do pojedyńczych numerów tych czasopism:

Warunki konkursów:

1) Rysunki mają być wykonane do reprodukcji kliszą kreskową, (a więc kreska i płaszczyzna czarna równa).

2) Wielkość stronicy „Przyjaciela Młodzieży“ 20½ × 30 cm. „Przyjaciela Dzieci“ 16 × 23½ cm. Rysunki powinny być nieco większe, aby mogły być do pożądanego formatu zmniejszone fotograficznie.

3) Nagrody za prace uznane przez sąd konkursowy za najartystyczniejsze i najwięcej odpowiadające celowi wynoszą w konkursach „Przyjaciela Młodzieży“ i „Przyjaciela Dzieci“ I-sza nagroda po 50 rubli, II-ga nagroda po 25 rubli.

4) Rysunki Konkursowe, naklejone na kartonach (nie w rulonach) nadsyłać należy *do Administracji Wydawnictw Tow. Akc. Wydawn. „Świat“. Warszawa, ul. Zgoda № 1.*

5) Termin nadsyłania prac 15 listopada 1813 r.

6) Każda praca winna być opatrzona godłem; nazwisko i adres autora należy załączyć w zamkniętej kopercie, opatrzonej tymże godłem.

7) Sąd konkursowy stanowią: pp. prof. T. Pieńkowski, prof. E. Trojanowski, W. Wankie, S. Krzywoszewski, W. Podwiński.



Femina

KOBIETA JUTRA I KULT DZIEWICY.

Ostatnia doba sprzyjająca rozwojowi niewidocznego erotyzmu a co za tem idzie rodząca rozprzężenie w sferze obyczajowej i społecznej, zmusza wybitne umysły do zastanowienia się nietylko nad jej przyczynami ale i „jutrem". Wszyscy niemal dochodzą do wniosku, że odrodzenie" może nastąpić tylko przez kobietę, że ona jedyna powołana jest do tej misji zapewniającej narodowi zdrowie moralne i fizyczne. Kobieta wychowuje przyszłe pokolenie, kobieta jest strażniczką domowego ogniska i jego cnót chodzi więc tylko o porozumienie się — jaką i kim właściwie ma być ta kobieta odpowiedź na to pytanie dają nam nie sufrażystki wybijające okna w parlamencie — ale „życie" — a wraz z niem ci, co starają się je pojąć w poszczególnych przejawach i całej jego konsekwencji. Między innymi zabiera głos w tej sprawie Francja, ów „Babilon" nowożytny, przez usta mężczyzn sympatyzujących z prądem równouprawnienia — przez usta bezstronych myślicieli pragnących dobra obu płci, które mają prawo do równości, pomimo, że żądania są „inne". I tak, J. Finot, znany autor, dziennikarz i publicysta, ogłosił swe poglądy na „kobietę jutra" w jednym z dzienników amerykańskich, gdzie snuje szereg refleksji, może nie olśniewająco świeżych i błyskotliwych, ale charakterystycznych ze względu na pobudki jakie autorem kierowały. W pierwszym więc rzędzie podkreśla, że sprawa stosunku dwojga płci zazwyczaj rozpatrywana jest pod pewnym tylko kątem widzenia t. j. że racje mężczyzyzn były zawsze li tylko ich racjami, a kobiety również ekskluzywnie myślały o poprawie swego losu. Nic zresztą w tem naturalniejszego, za świeże są rany i kalectwa, aby objektywnie móc spojrzeć na nie. Tembardziej więc mężczyzna powinien umieć' się wznieść ponad prywatę i w imię wspólnego dobra ład starać się zaprowadzić w kwestji zresztą wcale nie tak skomplikowanej, jakby się zdawało. Bo jeśli weźmie się pod uwagę, że interesy obu płci *nigdy*, dopóki świat istnieć będzie—rozdzielone być nie mogą z natury rzeczy—etycznie śmieszną wyda nam sią ta głucha i głośna walka, wynik której niemal z góry przesądzonym być musi. A w walce tej traci się najcenniejsze poczucie wartości życia; występuje brak harmonji, bez której nie może istnieć „całość" — wreszcie zmuszeni jesteśmy żyć „pod panowaniem siły brutalnej" cofającj nas wstecz do stanu ludzi pierwotnych. A porozumienie się przecie łatwe: mężczyzna powinien *głośno* uznać, (to co częstokroć uznaje w ciszy domowego ogniska i alkowy) — uznać więc w kobiecie drugiego człowieka — równego sobie, choć „innego". Ten postulat powinien rządzić całą polityką obu płci jeśli już koniecznie musi istnieć polityka. Z tem określeniem właśnie niezupełnie się godzi p. Finot. Polityka to wyraz wstrętny, niosący cały arsenał podstępstw, chytrości, tej samej zatem walki, tylko w innej formie. Ale należałoby wryć dobrze przedstawicielom obu płci w pamięć te słowa, że: obie wiecznie błądzić będą, gdy zechcą przeciwstawiać swą wartość i zalety. Równe są zupełnie pod każdym względem, ale dopiero przy całkowitem zjednoczeniu dążeń swych, pracy i uczuć zdołają dokonać wielkiego dzieła— p. Finot zwie go rajem ziemskim ja sądzę, że słuszniej będzie nazwać go „odrodzeniem" ludzkości błądzącej w zawierusze haseł i sztandarów, na których znamię miłości bliźniego i narodu zbladło i zatarło się pod huraganem różnych namiętności. Popierając swe wywody, autor artykułu w kobiecie „jutra" cytuje te, które już zajęły najwyższe szczeble na drabinie równouprawnienia, wymienia więc sławne przyrodniczki: Zofję Kowalewską, Curie-Skłodowską, panie Sommerville i panią Huggins, Zofję Germain — fizyko-matematyczkę, wreszcie literatki, umysły wybitne, zadające kłam twierdzeniu, jakoby istniały pola niedostępne dla kobiety.

(d. c. n.) *K. Łozińska.*

Najnowsze przeżytki prawne.

Pomijając już zasadniczą stronę sprawiedliwości, prawo nasze cywilne—t. zw. Kodeks Napoleona, traktuje kobietę mężatkę w sposób dziwnie mało pochlebny, dla... męża. Kobieta panna lub wdowa, uważana jest podług tego prawa, za istotę prawie normalną, rozumną, zdolną sobą rozporządzać, bez szkody dla siebie i drugich. Prócz opieki nad cudzemi dziećmi i kilka drobnych ograniczeń, prawo cywilne równouprawnia kobietę z mężczyzną.

Oh — ale tylko póki kobieta jest niezamężną.—Z chwilą zawarcia małżeństwa, żona staje się już tak upośledzona umysłowo i moralnie, że gdyby ściśle trzymano się na każdym kroku litery prawa, nie mogłaby samodzielnie pojechać, bodaj do Wilanowa, lub odebrać z poczty listu rekomendowanego. Od niewielkiej ilości przestępstw, najcięższej kategorji obmyślono zaledwie tyle zabezpieczeń i obwarowań, ile ich uczyniono dla kobiety zamężnej, aby czasem nie popełniła tego grzechu, tamtej lekkomyślności, owej nieostrożności!

A gdy wszystkie te okropności przewidując, prawodawcy myśleli wyłącznie o mężatce, jedno tylko wywnioskować z tego można: oto małżeństwo tak źle wpływa na kobiecą inteligencję, oto tak marnie oddziaływa na jej charakter, towarzystwo... małżonka!

Żart na stronę, dzisiejsze przepisy ustawy o małżeństwie odstają kompletnie od życia. Niewolno np. kobiecie wyjechać zagranicę bez pozwolenia męża, niewolno otworzyć sklepu, pracowni, stowarzyszenia, niewolno stanąć w sądzie, w sprawie własnej, niewolno rozporządzać własnym majątkiem. Wobec dzisiejszego zaś ruchu ekonomicznego i splotu interesów, skutki tych ograniczeń są nieraz dla obojga małżonków okropne. Były wypadki, że do ciężko chorego męża nie mogła pospieszyć żona, gdyż nieprzytomny nie był w stanie przysłać pozwolenia na pasport. Gdzieindziej poważne straty materjalne wywoływała niemożność, z powodu nieobecności męża, podniesienia zagrożonej sumy, wystąpienia ze sprawą sądową w odpowiedniej chwili ect, ect. Wszystkie te fakty, niezdarzające się dawniej w patrjarchalnych warunkach życia, dziś są chlebem powszednim. To też zupełnie serjo ustala się myśl zreformowania tych przeżytków. Stowarzyszenia kobiece opracowują projekty zastąpienia przestarzałych paragrafów innemi, zastosowanemi do życiowych wymagań dni dzisiejszych.

Czas wyjątkowy potemu.

N. Jastrzębska.

Kobieta a postęp.

„Kwestja kobieca", w istotnej treści swej, mało zrozumianą jest do tej pory przez ogół społeczeństwa naszego. Gdy mowa o *równouprawnieniu* — zazwyczaj staje przed oczyma zamaszysta *sufrażetka*, co to szyby wybija i pociskami w ministrów godzi a głodówkę uprawia heroicznie w więzieniu... Lecz czemu to czyni i jaka idea nią powoduje, oraz czy poza nią stoją jeszcze inne szeregi solidarne—o to nikt nie pyta i mało kto o to się troszczy.

A jednak owa walka o równouprawnienie kobiety, staje się coraz wyraźniej, coraz natarczywiej, kwestją ogólno — ludzką, zaprzątającą najpoważniejsze umysły współczesnych myślicieli i ekonomistów.

Tymczasem zaznaczyć wypada, iż do „Międzynarodowej Ligi", domagającej się równouprawnienia, należy już koło dwunastu miljonów kobiet, i że walka kilkuset *sufrażetek* angielskich, stanowiących nieliczny odłam spokojnie działających organizacji sufrażystek, jest drobnostkowym objawem tego ruchu, walczącego legalnie o prawa przynależne, na wszystkich polach, począwszy od organizacji zawodowych, poprzez najróżnorodniejsze formy agitacji za pomocą odczytów, prasy, broszur dzieł naukowych, wysyłania petycji, elegancji, zdobywania katedr uniwersyteckich i najwyższych stanowisk w świecie umysłowym.

O tym ruchu wspaniałym, z którym poważny zastęp mężczyzn w Ameryce, Anglji i krajach skandynawskich solidaryzuje się, mało kto wie jak również o istnieniu *„Związku równouprawnienia kobiet polskich"* w Warszawie (Nowy Świat 4.) z organem własnym „Ster" sprawom kwestji kobiecej poświęconym, oraz o *„Stowarzyszeniu"* podobnem (na Hożej № 12) — które urządzają popularne odczyty i dyskusje, zakładają oddziały na prowincji, uświadamiając ogół uśpiony o „palącej" sprawie...

Organizacje, te sympatyków dotąd mają niewielu, i prawa „obywalelstwa" przysługującego innym, mniej postępowym stowarzyszeniom, dotąd w kraju nie zdobyły...

Wyłom jednak zrobiony, dzięki wytrwałości i niczem nie dającej się zrażać energji pierwszych rzeczniczek ideowego ruchu.

Wraz z podniesieniem kulturalno-umysłowych aspiracji kobiety do wiedzy ścisłej, otworzą się zwolna oczy jej na „słuszność" lekceważonej dotychczas sprawy. Wtedy i ona uchyli głowy przed hasłami idei szczytnej, głoszącemi jej wyzwolenie z wiekowego poniżenia umysłu i ducha...

E. Wielowieyska.

Liga matek.

Na wstępie do udzielonej mi łaskawie przez Sz. Redakcję rubryki — wzmianek pedagogicznych, pozwolę sobie podzielić się z czytelniczkami poczytnego pisma wiadomością, nie obojętną dla żadnej matki. Wobec szerzącej się i panoszącej na ulicach Warszawy coraz większej demoralizacji—wobec notowanych coraz częściej napadów, porwań d z i e c i — zorganizować pragniemy Pogotowie ratunkowe, które uruchomić chcemy dla obrony małoletnich.

Wzywamy do współpracy wszystkie matki, którym dobro i szczęście dzieci tak bardzo leży na sercu. Smutnem doświadczeniem nauczone, widzimy, że nie dosyć wychowywać własne dzieci, żeby wyrość mogły na ludzi — pojmując w tem określeniu najwyższy ideał wychowania.

Znając doniosłość wpływu towarzystwa, jakie spotykają nasze dzieci — gdziekolwiek się zwrócą — czujemy, że tylko połączone usiłowania zespolonych jedną ideą matek, może zażegnać groźne niebezpieczeństwo.

Ograniczona szczupłością miejsca, nie mogę wchodzić w szczegóły naszego programu, korzystam tytko ze sposobności — i zawiadamiam o powstającej w Stowarzyszeniu równouprawnieniu kobiet polski polskich Sekcji pedagogicznej, która otwiera nad *ligą Matek* dyskusję, w najbliższej przyszłości, a z której sprawozdania zamieszczać w tej rubryce będziemy.

Prosimy też inne pisma o powtórzenie niniejszego komunikatu.

H. P.

UBIÓR DZIECKA.

Najprostszą jest rzeczą, że matka ubierająca się ładnie i elegancko, ubiera tak samo i swoje dzieci. Strojna matka obok zaniedbanego w ubiorze dziecka, byłaby w wysokim stopniu nie etyczną i nie estetyczną. Ubiór kobiety, żony i matki, musi być w ogóle ściśle zastosowany do jej domu, to jest do obramowania jej osoby i dostrojony do całości i warunków jakie ją otaczają. Wyobraźmy sobie wykoronkowaną i spowitą w jedwabie matkę i panią domu w jakiemś bardzo skromnem mieszkanku, obok dzieci, których odzież pozostawia wiele do życzenia, będzie to jakąś anomalją — więcej —jakimś życiowym zgrzytem. Oczywiście, że w ubiorach dziecinnych, jak we wszystkiem co się składa na życiową całość— wielką rolę odgrywa budżet, czyli to, co na ubranie dzieci przeznaczyć można. Inaczej ubrane być muszą dzieci rodziców zamożnych, inaczej takich, którzy ciężko zdobywają warunki bytu. Pomimo jednak tych znacznych różnic, zasada—myśl przewodnia w ubieraniu dzieci, pozostaje jedną i tą samą: *Hygieniczna czystość* i zupełna *wygoda* — zapewniające dziecku zdrowie i należyty, normalny, fizyczny rozwój.

Wiadomo, że kobiety, te mało rozsądne, oddają się nieraz w ciężką niewolę modzie, słuchając ślepo jej rozkazów. Otóż jeżeli ta niewola daje się we znaki tylko im samym—to trudno— ale pod karą najgorszych następstw, nie można z dzieci swych czynić modnych manekinów i żywych modeli.

Będąc w Paryżu i znajdując się czy to w ogrodach gdzie spacerują *modne* dzieci, czy na tak zwanych *bals d'enfants*, patrzyłam nieraz ze zdumieniem, na te bajecznie wystrojone laleczki, świadome swej nad innemi dziećmi wyższości, poruszające się jakby mechanicznie, by nie naruszyć harmonji linji i świeżości jedwabiów i koronek... o dziwnie wystudjowanych pozach i giestach... i nie wiedziałam co bardziej podziwiać, czy bezgraniczną próżność i... głupotę matek, czy cierpliwość dzieci, zaprawianych prawie od niemowlęctwa, do światowej blagi i różnych ludzkich fanaberji.

Wiem, znając nasze Polki — że tego rodzaju okazów matek i dzieci, u nas prawie niema, że hołdujemy *prostocie* okraszonej *gustem*, wiedząc, że połączenie tych dwuch ślicznych zalet wytwarza życiową estetykę w licznych jej założeniach i przejawach.

Raz jeszcze powtarzam, dziecko powinno być ubrane *czysto* i *wygodnie*. Dziewczynki do lat 5—6 można dogadzając matczynej próżności stroić w różne modne fatałaszki—plusze, jedwabie, koronki, z chwilą budzącego się samopoczucia, zalotność stroju powinna ustąpić starannemu, gustownemu, ale skromnemu ubiorowi panienki. Ubiory dziecin-



Najmodniejsze ubranka dziecinne.

ne, wzorowane na ubiorach osób dorosłych, nie są estetyczne, dziecko - dziewczynka sprawia wtedy wrażenie *malutkiej kobietki*, a to zaraz graniczy ze śmiesznością. Najładniej dla dziecka wygląda strój biały, batyst i płótno latem, flanela, sukienko—welwet zimą, jest to zbytkowne z powodu nietrwałości ale prześliczne. Nasze ryciny przedstawiają ładne ubranka dziewczynek — jest to wzór łatwy do naśladowania. *Marcéle.*

Kostjumy krawieckie. Okrycia jesienne i futra.

Ze wszystkich stron otrzymuję zapytania piśmienne i ustne, tyczące kwestji tualetowych, wywołanych zmianą sezonu. Jesień — złocąc liście i darząc nas częściej już chłodem aniżeli ciepłem (w czem zresztą niewiele się różni od zapłakanego ubiegłego lata) wymaga radykalnej zmiany ubrań naszych spacerowych oraz każe nam myśleć o całym dziale okryć, płaszczy i tym podobnych jesiennych i zimowych rekwizytów. Wraz ze zmianą sezonu, nastąpiły oczywiście i w strojach naszych zmiany rozliczne, bo przecież „moda“ nie mogła zadać kłamu swej nieustalonej sławie niestałości, kaprysowi fantazji, musiała wprowadzać w ruch i zastosowanie cały szereg nowych pomysłów, nowych okazów swej niestrudzonej, niewyczerpanej twórczości. A jednak—prąd, myśl przewodnia mody, panowała jednaką już przez dwa sezony, co się rzadko zdarza. O prądzie tym pisałam niedawno w „Złotym Rogu“ zaznaczając, że obecna moda zapewnia kobietom zupełną swobodę talji, że rysunek czyli linja postaci niewieściej wyklucza wszelki przymus, wywoływany szeregiem tak przez krój gorsetów *busque droit* że cofnięcie całej figury ku tyłowi zostało radykalnie zmienione wysunięciem jej na przód — a to wszystko w celu chwalebnym, ułatwienia paniom stanu spodziewanego macierzeństwa, którego znaczne zmniejszenie w ostatnich dziesiątku lat, zagrażało ubytkiem francuzkich obwateli. Powstał tedy ów prąd inny — a że Francja z Paryżem na czele, jest ojczyzną mody — więc cały świat ucywilizowany na ten modny kierunek w strojach naszych zgodzić się musiał. Tak więc postacie nasze szczególniej w strojach wieczorowych, są jakby zarzucone licznemi wolnemi draperjami od ramion aż do kolan, przy których następuje zwężenie szat krótkich i obcisłych. W kostjumach spacerowych i wizytowych tak zwanych krawieckich, tendencja powyższa mniej się zaznacza, mundury nasze uliczne, składają się przeważnie z dosyć krótkiej i obcisłej zwłaszcza przy kolanach i stopniach spódnicy, oraz żakietu przeważnie z baskiną, spiętego na dwa rzędy guzików od samej szyi, aż do talji. Rozliczne są warjanty, tego zasadniczego kroju, różne przybrania, kołnierze, mankiety — a całości tych nowych sezonowych kostjumów są niezmiernie ładne i szykowne. Sukienka—i epidemicznie modny materjał zwany *velours de laine,* najwięcej są na te *tailleurs simples,* stosowane. Kolory najmodniejsze *brique* (cegła) *tilleul* (kwiat lipowy) *mousse (mech)* oraz granatowy i czarny.

Okrycie zupełnie długie lub tak zwane $^3/_4$ przeważnie spinane na boku z rękawami *aeroplan* to jest (krojonemi od pasa) z przeróżnych pięknych materjałów pluszów wytłaczaczanych, różnych aksamitów, lub też futer, to jest foków, kasztanów brajtszwajców, karakułów, astrachanów i t. d. Futra są i pozostaną bajecznie modne, olbrzymie etole i mufki oraz całe pięknie wyprawiane lisy z których mojem zdanie najpiękniejsze czarne a najmodniejsze żó'te. Dla ścisłości dodaś muszę, że całą tą wspaniałą serję kostjumów, okryć i futer w bajecznym wyborze i komplecie, widziałam i podziwiałam w wytwornym magazynie konfekcji *W. Janiszewskiego.* Pan Janiszewski wybierał z całym wyszkolonym gustem wszystkie modele w Paryżu i w Wiedniu, zaopatrując się wspaniale na bieżący, jesienny i nadchodzący sezon zimowy. *Marcèle.*

Odpowiedzi Redakcji.

Smutnej Wołyniance. Przy tak zadawnionych wągrach trzeba z twarzą postępować jak następuje: maczać przez 5 do 6 z rzędu wieczorów, kawałek płótna w wodzie przegotowanej ciepłej, nabrać na niego nieco *pasty alkalicznej* (cena 60 kop.) i mydląc, wcierać w miejsca pokryte wągrami, dobrze spłókać wodą. Następnie przez 3 tygodnie zastąpić pastę.— *perełkami alkalicznemi*, nasypać trochę perełek na dłoń, rozrobić ciepłą wodą i mydląc lekko nacierać twarz, dobrze spłukać wodą przegotowaną ciepłą. (Cena perełek 75 kop.) Co rano przez miesiąc lub 6 tygodni nacierać twarz *płynem Vesta* (watą). Cena *płynu Vesta* 1 r. Gdyby skóra była trochę podrażnioną — zaczerwienioną, to po zaschnięciu płynu, natrzeć twarz kremem *Neige Miller* (1 rb. 30 kop.) zetrzeć, zapudrować pudrem Vesta (1 rb.). Wszystkie te środki wyśle Pani po otrzymanem zamówieniu *Kalotechnika (Marszałkowska 116)*, której kosmetyki są specjalnością. Wysyłają za pocztowem zaliczeniem. Wągry zginą niezawodnie.

Ex belle, Martwi się Szanowna Pani „porządnie już“ siwiejącemi włosami. Postępowo-lecznicza kosmetyka wzbogaciła się w ostatnich czasach wspaniałą, nowowynalezioną farbą do włosów na wszelkie żądane kolory i odcienia. Nazywa się ona *Eau de Jouvence*, twórcą jej jest p. *Caro Lenveille* w Paryżu, a przedstawicielem na Warszawę p. *Roman Prochowski* (Sienna 1) Nic włosom nie szkodzi, nie brudzi skóry ani bielizny, uważam ją za najlepszą z istniejących. Roman wysyła za zaliczeniem.

Marcèle.

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

2)

SKĄD SIĘ ZJAWIŁ PIERWSZY MIESZKANIEC AMERYKI?

Wobec takiego stanu rzeczy, dr. Hrdliczka postanowił zwiedzić niektóre z najważuiejszych miejscowości wschodniej Azji i wyjaśnić, jakiego rodzaju materjał dowodowy tyczący się danej sprawy, będzie można tu znaleźć; następnym jego zamiarem było opracowanie stanu antropologicznych i archeologicznych badań w tych częściach Azji.

Z polecenia Instytutu Smithsona i Panamsko-Kalifornijskiej wystawy w Saint-Diego, przedsięwziął on podróż do niektórych miejscowości południowo-wschodniej Syberji i północnej Mongolji, włączając tu również miasto Urgę, stolicę Mongolji, w której murach znajdują się dwa wielkie klasztory i który wciąż odwiedza wielka liczba mieszkańców całego kraju.

16 maja 1912 r. dr. Hrdliczka udał się na parostatku „Cedric" z Nowego Jorku do Londynu, skąd następnie przez Petersburg i kolej syberyjską dotarł do Syberji. Zwiedził również źródła Jeniseju i zatrzymywał się w Krasnojarsku i Minusińsku. Od źródeł Jeniseju udał się do Irkucka, do jeziora Bajkałskiego oraz do innych części Mongolji i Turkiestanu, o ile pozwalał na to czas i środki wyprawy. Będąc w Syberji, zwiedził Kjachtę na granicy Mongolji i Rosji, poczym powędrował do Urgi, skąd powrócił starą karawanową drogą do właściwych Chin i udał się z powrotem do Ameryki.

Z pośród najrozmaitszych przedmiotów, zbadanych przez dr. Hrdliczkę, najciekawsze są mogilne pagórki, czyli t. zw. kurhany, rozrzucone wzdłuż brzegów Jeniseja i Selingi i ich dopływów. Kurhany te, których liczba przekracza tysiąc, przedstawiają olbrzymią wartość dla badacza w tej dziedzinie, o ile weźmiemy pod uwagę, iż pochodzenie ich w wymienionych miejscach obejmuje okres od stosunkowo niedawnych czasów do oddalonych epok wieku kamiennego. Jednakże są one mało rozkopane i prawie nietknięte pomimo tego, iż stanowią nieprzebraną skarbnicę dla uczonego, który otrzymał prawo na ich rozkopanie w celach naukowych. W Minusińsku niektóre badania dokonane zostały przez prof. Adrjanowa i jego kolegów oraz przez krakowskiego profesora Talko-Gryncewicza.

Rzecz godna uwagi, iż datę usypania pagórków można ustalić z taką łatwością, jakgdyby moment ich usypania został wyryty na kamiennej płycie; wykopywane przedmioty ze zło



Indjanin Amerykański.

ta, miedzi, żelaza, bronzu lub kamienia ustalają z wielką ścisłością czas powstania kurhanu, w którym je znaleziono.

Większa część kurhanów odnosi się, najwidoczniej do niedawnej epoki, będąc w takim stosunku do ugryjskich i tatarskich pierwiastków, w jakim znajduje się względem nich współczesny mongoł. Czaszki szkieletów pochodzące z najświeższych kurhanów brachicefalicznego typu, są krótkie i nieco kuliste, co czyni je wielce podobnymi do amerykańskich czaszek, tego samego kształtu; kurhany najdawniejszego pochodzenia, nie zawierające metalowych przedmiotów, zawierają czaszki dolichocefalicznego typu, długie i wązkie, bardzo podobne do czaszek amerykańskich Indjan tego samego typu.

Trudno jest twierdzić z pewnością do jakiej rasy należą owe szkielety i czaszki. Mimo to, ustalono jednak, że na brzegach niższej części Jeniseja i w niektórych innych miejscowościach dość często spotyka się obecnie żyjące plemiona dolicefalicznego typu i tacy tubylcy zdradzają duże podobieństwa do tubylczych amerykańskich Indjan.

(d. n.) *K. G. B.*

Nowa surowica przeciw ospie.

Pisma niemieckie donoszą, że lekarzowi berlińskiemu, Fornetowi, udało się otrzymać kulturę bakcyla ospy. Dotychczas wątpiono w kołach lekarskich w możliwość osiągnięcia tego rezultatu. Dr. Fortner otrzymał go przez używanie eteru przy kulturze bakcyla ospy, eter bowiem zabija wszystkie pobocznie się tworzące bakterje. Praktyczna wartość tego odkrycia nie jest jeszcze zupełnie ustalona. Dr. Fornet przypuszcza jednak, że z uzyskanych kultur łatwiej będzie można preparować surowicę niż dotychczas z krowianki. Surowica uzyskana przez niego tą drogą, podobno dłużej działa i jako trwalsza w organizmie zabezpiecza zaszczepionego na dłuższy czas przed niebezpieczeństwem infekcji. Szczepienie tą surowicą nie wywołuje nadto tych niepożądanych powtórnych objawów, jakie pojawiały się nieraz przy szczepieniu krowiankowem i było po części powodem, że niektóre koła lekarskie wypowiadały się swego czasu przeciw szczepieniu krowianki.

Nagrody dla wynalazców.

W ostatnich czasach rozpisano następujące konkursy na wynalazki z różnych dziedzin przemysłu:

1) na materjał palny do motorów. Nagroda wynosi 2,000 funtów (około 50,000 kor.) — adres: „British Society of Motor Manufacteurs", London;

2) na sposób karczowania (wyciągania pni drzewnych)—adres: „Administration centrale des Eaux et Forets"—Ardénne;

3) na przyrząd do wydobywania buraków (buraczarka). Nagroda 10,000 dolarów—adres: „Great Westarn Sugar Cy". Denver, (Colorado). Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. — Termin do 1-go marca 1915 r.;

4) na motor do aeroplanu — adres: „War Office, White Hall. London S. W.—Termin do 1-go lutego 1914 r.

Zarząd niemiecki kolei w Berlinie rozpisuje co 4 lata konkurs na wynalazki kolejowe. Rozstrzygnięcie najbliższego konkursu nastąpi w r. 1916. Zgłoszenia mogą nastąpić w czasie od 1-go października 1914 r. do d. 15-go kwietnia 1915 roku. Szczególnie są pożądane:

1) drezyna motorowa o chyżości 40 klm. na godzinę, kryta, na 3 albo 4 osoby;

2) przyrząd do szybkiego łączenia i rozłączania osłony na przejściach z wagonu do wagonu;

3) pojedyńczy przyrząd do szybkiego wyładowywania szyn z wagonów zwłaszcza na otwartym torze;

4) machaniczne urządzenie do szybkiego ładowania i wyładowania pakunków i pocztowyyh przesyłek.

Suma ogólna nagród w tych konkursach wynosi 30,000 marek, najwyższa 1,500 m.—Adres: „Geschaeftsführende Verwaltung des Vereines deutscher Eisenbahnverwaltungen" in Berlin W. 9. Köthenerstrasse 28 — 29

MARJAN ORLICZ.

12)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

VIII.

W złocie i fioletach, poszum niosąc i wiew wilgotny schodziła na świat jesień.

W rozrzutnym bogactwie swych chłodnych wieczorów i zimnych poranków, słała pod nogi rdzawe, chrzęstliwe dywany umarłego liścia.

Po dniach słotnej szarugi, niezwykle ciepłe promienie październikowego słońca wyczarowały na chodniki tłumy spacerowiczów.

Na wszystkich twarzach niby refleks tych promieni: radosne zadowolenie.

Modnisie, powróciwszy z „Badów", obnosiły, jak monstrancje swoje osóbki w „dernier cri" kapeluszach i kostjumach.

Co krok—nieszczery wykrzyk: „Ale też znakomicie pani wygląda, widocznie kuracja posłużyła", a wewnątrz „A to zbrzydła do reszty".

W salonach „Zachęty" ruch niezwykły, szczególnie wystawa prac Żarskiego przyciąga tłumy.

Hela wchodząc, była tak wzruszona, że opadła na pierwszą lepszą ławkę.

Serce się w niej tłukło, jakby pierś rozsadzić miało.

— Cóż to? już siadasz? — pan Lindner zrobił wielkie oczy.

— Zmęczona jestem.

— Tyś chyba od urodzenia zmęczona. Wszakżeśmy przyjechali. Wiesz, że nie znoszę kaprysów.

— Upewniam cię, że to nie kaprys. Daj mi chwilę posiedzieć.

— Nie wypadało mi puścić cię samą, ale ja nie mam czasu na wystawy.

— Pozwól sobie powiedzieć, że ty nigdy na nic nie masz czasu. Cóż ty tam takiego robisz?

— Cóż byś chciała, żebym robił? Ale „pańskie oko" wiesz. Te kanalje, jak ich nie pogania moja obecność, nie spieszą się z robotą.

— Prawdziwie nieraz, kiedy widzę, jak ty się do robotników odnosisz, myślę, że w tobie chyba pokutuje dusza, jakiegoś „capatas".

— Cóż to za capatas, moja uczona żono?

— To poganiacz niewolników.

— Wiecznie romanse. Gdyby twój mąż inną miał duszę, toby jego żona nie miała parterowej loży, nie czekałaby na nią przed „Zachętą" taka para siwoszów... No idziesz? bo zostawiam ci konie i wracam dorożką.

Hela dźwignęła się leniwie.

Dużych rozmiarów „Marzenie" uderzało wzrok już zdaleka.

Ściany salonu zawieszone były przeważnie olejnemi pracami; były tam jednak i studja akwarelowe i gwasze i akwaforty.

Przesuwała się automatycznie od płótna do płótna, przytrzymując rękami, do utraty tchu bijące serce.

Z tych płócien wyzierała ku niej dusza Żarskiego.

Myśl rozpętana błądziła zdala od rzeczywistości, a w głowie szumiało tysiące chciwych pytań.

Na głos męża drgnęła gwałtownie.

— Wiesz, Helu, to zadziwiające, jak ten człowiek zapamiętał twoją twarz. Nie do uwierzenia. Patrz, przecież to się powtarza na każdym obrazie.

Zdradliwa łuna rumieńca popełzła od szyi aż do czoła.

Prawda: i „Wiosna", i „Marzenie", i „Opuszczona" i „Przysięga" — wszędzie, wszędzie.

— Co za ogrom pracy, powiedziała, żeby coś powiedzieć.

— Rzeczywiście. Mnie się zdaje, że jabym przez całe życie nie zdążył wymalować jednego takiego „Marzenia", a przecież musiał już sprzedać nie jedno. No i co z tego? Ręczę ci, że nie ma tysiąca rubli w majątku. Napewno mój buchalter bogatszy.

Zacięła wargi.

— I zawsze miarą pieniędzy zestawia ludzi.

— Wiesz, szkoda, że niema cen, ładne rzeczy, możebym coś kupił.

— Gdzieżeś ty widział ceny na wystawach? Masz chęć, to kup.

— E, kto wie, jak się ten pan drogo ceni, a czas ciężki, nie w głowie obrazy. Żeby tanio...

Odwróciła się z niesmakiem.

I naraz... Purpurowa chmura przesłoniła jej wzrok.

— Pan Ździ!... pan Żarski!...

Stał przed nią skamieniały.

Och, te oczy struchlałe...

Potrzeba było długiej chwili, zanim ochłonęli oboje.

Hela pierwsza odzyskała równowagę.

— Panowie się nie znają; mój mąż, pan Żarski.

Żarski skłonił się sztywno. Lindner wyciągnął rękę.

— Owszem, spotkałem pana raz w naszym domu. A przytem — lubił „robić Wersal" — ktoby nie znał takiego artystę?

— Powinszować — powiedział protekcjonalnie — prawdziwie, powinszować. A ja znam się trochę na tych rzeczach: piękna robota. Ileteż pan ceni tę główkę?

Hela zaczerwieniła się znów po białka oczu.

— Przecież chyba nie będziemy tu mówili o interesach. Spodziewam się, że pan Zdzi... pan Żarski nas odwiedzi.

— Naturalnie. Zobaczy pan, że ze mnie kawałek mecenasa — odął swoją tłuczną personę — Jest u mnie w salonie i Chełmoński, i Malczewski, i Żmurko. Miałem nawet chęć kupić kiedyś „Szał„ tego... jakżeż mu tam?

— Podkowińskiego, podszepnął uprzejmie Żarski.

— Aha, Podkowińskiego. Byłem akurat w Łodzi kiedy był wystawiony. Ta kobieta bardzo mi się podobała: śliczne ciało, mlasnął wargami — ale jak powiedzieli cenę, złapałem się za głowę i uciekłem.

Hela była, jak na rozżarzonych węglach. Nigdy może dotąd wulgarny umysł męża nie wylazł na wierzch w całej swej szpetocie, jak w tej chwili.

— Pan to wszystko malował w Paryżu.

— W Paryżu, proszę pana.

— Byliśmy z żoną przed trzema laty w Paryżu.

— Państwo byli w Paryżu długo?

— Dziesięć dni. Miałem go dość tego waszego Paryża. Co wy tam w nim macie? głupia moda i nic więcej. Już ja wolę Berlin.

— Jakżeż można porównywać?

— Dlaczego? Tam szerokie ulice i tu szerokie ulice, tam duży ruch i tu duży ruch, tam ładne domy i tu ładne domy.

— Cóż za porównanie architektura Paryża i Berlina. Toż to wobec Paryża jakby powiedział niemiec: „ein grosser Steinerhaufen".

— Co mi tam architektura. Co ja mam z tego? Ja nawet berlińskiego Krolla wolę, niż te wasze „Folies Bergéres".

— O, proszę pana, z „Folies Bergéres" Paryża sądzić nie można.

— A zresztą, powiem panu, ja zwyczajny jestem stosunków z niemcami, po francusku mówię kiepsko, po niemiecku — dobrze... mówcie, co chcecie, milszy mi niemiec, niż francuz.

— Cożeś taka milcząca dzisiaj, Helu? Możnaby przypuścić, że cię pan Żarski urzekł. Prawda panie, że żona moja wyładniała?

— Nadzwyczajnie! — wyrwało się Żarskiemu gorąco.

Hela radaby, żeby się ta męka skończyła, ale Lindner zapomniał, że niema czasu i ciągle zatrzymywał Żarskiego, a on miał jedną myśl w głowie: uciec, uciec jaknajprędzej.

— Proszę ja pana, oprawa też coś znaczy, odął się znów z pychą, niech no pan zdejmie z niej te wszystkie piękne rzeczy od Hersego, od Lucyny...

I naraz przyszło Żarskiemu na myśl, że ten tu oto, ma prawo zdjąć z niej te wszystkie piękne rzeczy, że to cudowne ciało jest jego własnością, że każdej chwili mocen jest rozpuścić te wspaniałe, złote włosy Loreley.

— Cóż mnie to wreszcie dziś obchodzić może — odpowiadał sobie. Mimo to jednak uczuł, że go wąż zazdrości ukąsił w samo serce.

— Wie pan co? ja panu coś powiem... Lindner stawał się coraz bardziej „ami cochon“, ja tej główki nie kupię, tylko ja wolę zamówić u pana portret mojej żony.

— Co tobie do głowy przychodzi? — broniła się desperacko.

— Co mi przychodzi? Zobacz, czy choć jeden salon bogatego fabrykanta jest bez portretów. Nawet, jak pan skończy twój, a będzie dobry, to ja i mój obstaluję.

— Ale pan Żarski może nie mieć czasu, a ty się tak rozporządzasz — próbowała oponować — zresztą ja w tych czasach nie jestem usposobiona...

— Co to usposobiona, czy nie usposobiona; zamawiam i basta.

— Pan zapewne jeszcze nie zainstalowany, zwróciła się pierwszy raz do Żarskiego.

— Przeciwnie, pani.

— Więc pan na długo do Warszawy?

— To zależy od wielu rzeczy.

— A czy portret można robić w domu?

— To jest jak, w domu?

— U mnie.

— Ostatecznie możnaby, ale to połączone z trudnościami, a potem, nie wiadomo czy światło odpowiednie.

Widocznem było, że i on chciałby się wykręcić od tego portretu.

— Moja Helu, nie zawracaj głowy i zostaw to artyście. Jeżeli panu wygodniej w pracowni, żona będzie pozowała u pana. Pożegnał się nareszcie, ale Żarski, musiał Lindnerowi dać słowo, że ich lada dzień odwiedzi.

Próżno się wymawiał brakiem czasu, Lindner był niepozbyty.

— A to wieczorem, po robocie.

Skończyło się na tem, że Żarski przyrzekł. Przez kilka dni bił się o piasek. „Nie pójdziesz tam“, wołały w nim resztki woli. „Tak mi ją potrzeba widzieć“, odpowiadał wewnętrznemu buntowi.

Nareszcie zmęczony tą kłótnią z samym sobą, po tygodniu ogolił się starannie, ubrał wizytowo i poszedł.

Zaledwie przycisnął guzik dzwonka miał zamiar uciec, ale już czujny lokaj drzwi otwierał.

Salony Lindnerów umeblowane były z istnym przepychem. Nigdzie jednak przeładowania, wszędzie zachowany artystyczny umiar; znać było, że to nie ręka pana Lindnera kierowała urządzeniem.

Masa roślin w przepysznych żardynierach, na etażerkach, kilka rzeczywiście pięknych obrazów, zaciszne kąciki.

Nic nie wskazywało salonu miljonera-dorobkiewicza.

Żarskiemu, kiedy wychodził zdawało się, że słyszy uderzenia własnego serca.

W salonie było kilka osób, między innymi prawnik Fuchs, kolega szkolny Żarskiego.

Niepodobna było nie spostrzedz bladości pani Lindnerowej.

Żarski po prezentacji cofnął się w kąt i przysiadł do Fuchsa.

I nagle duszę mu ogarnęło silne rozrzewnienie, całe dzieciństwo pieszczonego jedynaka stanęło przed nim jak żywe.

— Pamiętasz, Edek, jakeś mię sobą zasłonił, kiedy „nowotnemu“ klasa chciała sprawić „lanie?“ Tyś był niby to ten silniejszy a nie silniejszy tylko mniej „mamin synek“. Pamiętasz, jak w „Mrozach“ na stawie łódka się z nami przewróciła, jakeśmy się żegnali z życiem, kiedy szklana tafla nad głowami nam się zamknęła? A gdy cudem wygramoliliśmy się na kępę sitowia i wodą ociekając powróciliśmy do domu, tyś całą winę na siebie wziął, chociaż to moja niezdarność łódkę przewróciła. Ileż to tych „pamiętasz“ mamy poza sobą?.. Przysięgliśmy sobie wtedy wieczną przyjaźń, nie rozłączać się nigdy. Nie bierze w rachubę dziecinny umysł, że życie nie pyta... i oto odrzuciło nas tak daleko od siebie. A kto wie, co jeszcze..

— Aleś ty został tym samym „czułkiem“, patrz. jak ci drżą ręce.

Żarski rzeczywiście tajał z rozczulenia. Chmara wspomnień, jak ptactwo żarłoczne rzuciła mu się na duszę, widział się w mun-

durku uczniowskim „konik polny” jak go nazywali koledzy. Matka co dnia wpół drogi przychodzi mu naprzeciw, rękę kochaną kładzie—bywa—na głowę: „No jakże tam dziś poszło?“

Jakież to dawne, dalekie.

Nie dosłyszał jak uproszono panią domu, żeby coś zaśpiewała. Kiedy rzewne tony pieśni: „Czemu, ach czemu, moja cudna miłość“ zadrżały w powietrzu, Żarskiego moc jakaś magnetyczna poderwała z miejsca.

Wstał i zbliżył się jak w hypnozie.

„Czemu, ach czemu, moja cudna miłości opuszczasz mnie, czemu opuszczasz mnie?”

Z opartymi na drugim końcu fortepianu łokciami, stał pochylony, daleki od rzeczywistości, w półśnie.

Pieśń przychodziła do niego, jak jakieś echo z oddali, jak poszum promiennej wiosny, nielitościwie, bezpowrotnie minionej.

Czemu? Czemu?

Tuman jakiś nieuchwytny legł mu na mózgu, na oczach.

„Czemu? czemu?“ jęczała smutna dusza.

Po herbacie Żarski z Fuchsem wyszli jedni z pierwszych.

— Wiesz Zdzichu, bardzom się ucieszył, kiedy mi powiedziano, że zaczynasz się wybijać, a już kiedym przeczytał krytyki twoich prac, ogromnie byłem rad.

— Tyś był i pozostaniesz poczciwą naturą. Ale powiedz mi Edku coś o sobie.

— Cóż ci powiem? nie wesoło. Zdawało mi się dawniej, że tylko artystom ciężko: dziś ciężko całej młodzieży. Kiedy zamknięto uniwersytet, choć się obwieś, nie było, co z sobą robić, kiedy go otwarto, wołają, że tylko żydzi i moskale nań uczęszczają. A powiedz, co taki, jak ja ma począć? Wszak wiesz, że mam starych, bardzo biednych rodziców, kalekę brata. Te dwa lata stracone, to już dla nich katostrofa. No i co robić? Daję lekcje, ale czy to może dać chleb całej rodzinie? Chociaż, czy ja wiem? Gyybym nawet skończył... Żydowi wszystkie drogi zamknięte, dokończył z właściwym swej rasie bolesnym wyrazem ust.

— Co ty mówisz? Czyżby? Zupełnie już sobie uprzytomnić nie potrafię naszych stosunków. Czyżby to rzeczywiście miało stanowić?

— Bardziej niż sobie wyobrażasz. Wreszcie, przysiągłbym i tak zostać nie mogę więc całe życie chyba przyjdzie być pokątnym skrobipiórkiem.

— E, co tam „Sursum corda“ zobaczysz, że jakoś się wybijesz.

— Dałby to bóg, mój drogi. Dla siebie nic nie chcę, ale takbym pragnął moim staruszkom osłodzić ostatnie lata.

— Często bywasz u Lindnerów?

— Dosyć. Okropnie mi żal tej biednej Heli.

(d. c. n.)

STANISŁAW JERZY KOZŁOWSKI.

SARDANAPAL.

NOWELA.

(Dokończenie)

Gwałtowną mocą cisnął o złocisty piasek skrytobójcę. Padł bez jęku. Narzędzie śmierci wysunęło się z zdrętwiałych palców. Zaś dwór wrzasnął bezładem trwogi, popłochu, zamieszania... Pochód stanął... Rzucili się: ministrowie, wodzowie, niewolnicy ku wzburzonemu Władcy, gotowi roznieść na mieczach klęczącego u jego nóg spikowca. Zabrzękły oręże zemsty...

Sardanapal pochylił się nad nieszczęśnikiem. Twarz miał kredową, okrutną.

— Kto jesteś psie?!! — syknął wściekle.

Nie było odpowiedzi, tylko oto wiatr zsunął płaszcz klęczącej postaci, rozsypując na jej ramiona złocisty deszcz wspaniałych jedwabnych włosów.

— Kobieta!!! — ryknął król królów. — Żmijo! Czy wiesz, co cię czeka?.. Męki! Męki! Meki!..

Poczem zwrócił się do swoich przybocznych murzynów.

— Strzedz jej, jak oka w głowie. Musi umrzeć, ale chcę widzieć konanie. Sam wy-

myślę tortury, że zbledną wszystkie przerażliwości katowni.

Olbrzymi sudańczycy porwali winną. łyskając białkami zwierzęcych ślepiów. Skrytobójczyni, nie odsłoniwszy utajonego oblicza pożegnała straszliwego mocarza kamiennem milczeniem.

Pochód królewski ruszył dalej ku pałacowi, ale chmura zgrozy zawisła nad nim, jak stado sępów — trupojadów. Umilkły śpiewy i nawet kochanice Sardanapala okryły rozpustę nagiego ciała gazą bengalską. Czasem tylko wprzęgnięty do rydwanu tygrys ryknął złowrogo, zda się węsząc krew z poprutych członków ludzkich...

Aż zatrzymał się pochód przed pałacem· Wyniosły i rozległy, o niezliczonych skrzydłach, stał chram marmurowy. 10000 kolumn dzwigało jego fenomenalne krużganki, mistrzowskie płaskorzeźby zdobiły fronton i arkad malachity.

Sardanapal zstąpił z wozu cedrowego. Wzięli go pod ręce ulubieni ministrowie i poprowadzili szkarłatnymi wschodami do olbrzymiej sali. Tam połyskiwał tron królewski, cały z pereł. Kobierce babilońskie wyściełały doń drogę, bronzowe lwy skrzydlate trzymały straż po bokach.

Gdy więc król spoczął wygodnie, a za nim cały dwór rozsiadł się na specjalnie urządzonych trybunach, huknęły miedziane trąby, jakgdyby zopowiadając coś niezwykłego.

Sardanapal, mimo zniewieściałość, lubił rozlew krwi i radował się wrzaskom boleści. Pantery swoje karmił ciałami przykrzących mu się nałożnic, strzelał z łuku do spokojnych tłumów, lub tratował wozem cedrowym dzieci maleńkie. Teraz zaś łomotało jego serce potrzykroć, potysiąckroć gwałtowniej, bo oto nadeszła godzina zemsty, godzina tryumfu nad żmiją, która chciała ukąsić go śmiertelnie.

Powstał więc i zawołał:

— Wprowadzić winną!!!

Rozsunęła się amarantowa kotara, zasłaniająca drzwi wchodowe. Wtoczyło się dziesięciu katów, półnagich niezgrabnych olbrzymów, o krwiożerczych twarzach. Dźwigali przeróżne narzędzia tortur; koła łamiące stawy, rozpalone do czerwoności pręty, kolczaste obroże, haki, piły, siedmiozębne widły i namoczone w gryzących kwasach bicze. Zaczem dwunastu żółto przybranych murzynów, pod strażą błyszczących włóczni, wprowadziło kobietę i zatrzymało przed tronem króla królów.

I stał się nagle jakiś niesłychany dziw'

Sardanapal zerwał się z tronu, zaś bałwochwalczy okrzyk zachwytu władcy rozbrzmiał po komnacie:

— Jaka cudna!!! Jaka cudna!!!

A wówczas kobieta nagłym ruchem odpięła agrafę na ramieniu, podtrzymującą fałdy, ciemna szata spłynęła miękko ku posadzce i... fenomenalna piękność zajaśniała, by posąg grzechu.

Sardanapal oniemiał. Jego błada, zniszczona twarz buchnęła ukropem wzruszeń, jego przygasłe oczy oświetlił płomień, rzadki gość w spojrzeniu wiednącego rozpustnika. Zmienił się cały w niedowierzanie, a za nim dwór, i niewolnicy, i wszyscy, wszyscy...

— Jaka cudna!!! Jaka cudna!!!

Oto on, najpotężniejszy i najbardziej hołdujący bezwstydowi, oto on, król królów lew narodów, władca i mocarz, oto on, któremu świat cały bije pokłony, zazdrości kochanek, oto on, przeżyty wszelaką rozkoszą, obiecujący połowę państwa, za wynalezienie nieznanego upojenienia, on skamieniały za chwytem, utonął teraz w gwiaździstych źrenicach tej... cudnej, zda się pokorny rab...

Marmurowa cisza rozpięła nad komnatą swe nieruchome skrzydła. Kobieta stała demonicznie piękna, złotowłosa, tryumfująca..

Sardanapal zstąpił z wyżyn tronu ku niej, skrzyżował upierścienione dłonie na królewskiej piersi i, pochyliwszy ukoronowaną głowę, klęknął przed skrytobójczynią, a z nim razem klęknął cały dwór, i niewolnicy i wszyscy, wszyscy...

Później zaś wstał wolno z kolan i rzekł do oniemiałych tłumów:

— Ja, Sardanapal, uczciłem najcudniejszą z cudnych. Godziła na życie króla-królów, ale blask jej krasy spalił sprawiedliwość. Kochanką moją będzie, bóstwem mojem, rozkoszą moją, perłą haremów moich...

I przywarł gorącemi usty do purpurowych warg złotowłosej.

Cały zaś dwór, wszyscy ministrowie i kapłani, nałożnice i hurysy, rycerze i kolorowe sługi klęczeli w uroczystej pokorze przed nową kochanką Sardanapala.

KONIEC.

9)

H. DE BALZAC.

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Przy śniadaniu państwo Desmarets świadczyli sobie wzajemnie liczne grzeczności, w których było jednak coś sztucznego. Było coś sztucznego w wymuszonej wesołości spojrzeń, czuło się wysiłek ludzi, pragnących oszukać własny niepokój. Juljusz odczuwał mimowolne wątpliwości, żona jego — żywy niepokój. A przecież w nocy zdawało się im, że chmury rozpierzchły się bez śladu. Jednak teraz byli oboje zażenowani. Czy zawstydzeni brakiem ufności, czy wspomnieniem sceny nocnej? Tego nie wiedzieli sami. Ale kochali się, kochali miłością zbyt czystą, aby okrutne a jednocześnie błogie wrażenie tej nocy mogło nie zostawić śladu w ich duszach. Oboje pragnęli zatrzeć je, każde pragnęło pierwsze wyciągnąć rękę, a to mimowoli kierowało ich myśl ku pierwotnej przyczynie tego pierwszego w ich pożyciu nieporozumienia. Dla dusz kochających coś podobnego jest nietyle zmartwieniem, a tembardziej bólem, ile rodzajem trudnego do odtworzenia stanu żałoby. Jeśli istnieje związek między kolorami a stanami duszy, jeśli, jak twierdzi ślepiec Locke'a, szkarłat musi oddziaływać na wzrok tak samo, jak fanfara na słuch, — to niechaj wolno nam będzie porównać obecną melancholję państwa Desmarets z barwami szaremi. Lecz miłość zasmucona, miłość pomna uczucia stałego szczęścia, zakłóconego na chwilę, zna zgoła nowe rozkosze, gdy do słodyczy dołączy się kropla goryczy. Juljusz wsłuchiwał się w głos swej żony, podpatrywał jej spojrzenia, pełen tego młodego uczucia, które ożywiało go w pierwszym okresie ich miłości. Więc też wspomnienia pięcioletniego niezmąconego szczęścia, piękność Klementyny, naiwność jej uczucia—wkrótce wyparły ostatnie ślady niedawnego bólu. Była to niedziela, dzień wolny od giełdy i innych interesów; małżeństwo spędziło dzień ten razem, tuląc się do siebie, podobnie, jak dwoje dzieci, które w chwili przestrachu tulą się ku sobie, złączone jakimś instynktem. W życiu dwojga zakochanych zdarzają się podobne dni tak szczęśliwe, lecz przypadkowe, nie związane ani dniem wczorajszym, ani jutrzejszym, niby efemeryczne kwiatki!.. Juljusz i Klementyna napawali się dniem tym, jakgdyby przeczuwali, że będzie to ostatni dzień ich szczęścia miłosnego. Jak nazwać tę tajemniczą władzę, która przyspiesza krok wędrowca, nim jeszcze rozpętała się burza, która rozjaśnia pięknem życiem ostatnie dni przed śmiercią i nasuwa najweselsze projekty, która nakazuje uczonemu rozjaśnić w nocy lampę w chwili, gdy świeci ona jeszcze jaknajlepiej, która każe matce drżeć wobec przenikliwego wzroku rzuconego przez kogoś na jej dziecko? Wszyscy znamy tę dziwną władzę w momentach, poprzedzających wielkie przejścia życiowe, choć nie pojmujemy jej i nie znaleźliśmy dla niej nawet nazwy: jest to coś więcej niż przeczucie, ale nie jest to też jasnowidzenie.

Dzień niedzielny przeminął spokojnie. W poniedziałek Juljusz Desmarets zmuszony udać się na giełdę o zwykłej godzinie, nim wyszedł, zwrócił się do żony, zapytując, jak codzień, czy potrzebny jej będzie powóz.

— Nie, — odrzekła. — Pogoda jest wstrętna, zostanę lepiej w domu.

W istocie, deszcz lał jak z cebra. Około wpół do trzeciej Juljusz poszedł na giełdę. Gdy wychodził stamtąd o godzinie czwartej, natknął się na barona de Maulincour, który oczekiwał go z tą gorączkową wytrwałością, do której zdolna jest tylko nienawiść i żądza zemsty.

— Panie, chcę panu zakomunikować bardzo ważne wiadomości, — rzekł oficer, dotykając ramienia Juljusza. — Słuchaj pan, jestem człowiekiem zbyt lojalnym, aby uciekać się do anonimowych listów, które zakłóciłyby pański spokój. Wolę więc pomówić z panem otwarcie. Przytem wierzaj mi pan, że gdyby nie chodziło o moje życie, nie pozwoliłbym sobie nigdy wtrącać się do spraw małżeńskich, choćbym nawet miał do tego pewne prawo.

— Jeśli to, co zamierza mi pan powiedzieć dotyczy mojej żony, — rzekł Juljusz, — proszę pana, aby zechciał pan nie kończyć.

— Gdybym milczał, szanowny panie, mogłoby się wkrótce zdarzyć, że ujrzałby pan swą żonę na ławie oskarżonych, obok zbiegłego galernika. Czy mam więc mówić?

Juljusz pobladł, lecz po chwili twarz jego przybrała pozorny wyraz spokoju. Następnie rzekł doń głosem, który krył głębokie wzruszenie:

— Panie, słucham pana. Lecz zapowiadam, że dojdzie między nami do pojedynku na śmierć i życie, o ile...

— Zgadzam się chętnie,—przerwał baron.— Mam bowiem dla pana największy szacunek. Mówi pan o śmierci? Bo zapewne nie wie pan, że żona pańska kazała mnie niewątpliwie otruć w sobotę. Tak, szanowny panie, od onegdaj czuję, że dzieje się ze mną coś niezwykłego; włosy moje sączą mi przez czaszkę do mózgu śmiertelną gorączkę. A wiem dobrze, kto dotknął moich włosów na balu.

Baron de Maulincour opowiedział, nie przepuszczając żadnego szczegółu, swą miłość platoniczną ku pani Juljuszowej, jako też przygodę, którą opisaliśmy na początku powieści. Każdy na miejscu Juljusza wysłuchałby go z tą samą gorączkową ciekawością. Ale mąż pani Juljuszowej miał prawo być bardziej zdumiony, niż ktokolwiek inny. I tu przejawiła się moc jego charakteru: był bardziej zdziwiony, niż przygnębiony. Zostawszy sędzią, nadomiar sędzią własnej żony, znalazł w swej duszy zarówno prawość i bezstronność, jak też i niezłomność sędziego. Lecz, był jeszcze kochankiem, więc myślał nietyle o swojem, ile o jej złamanem

życiu i słuchał nie głosu swej boleści, lecz odległego głosu, który krzyczał: „Klementyna nie potrafiłaby kłamać! I pocóż miałaby cię zdradzać?"

— Panie, — rzekł oficer na zakończenie, — będąc pewnym, że spotkany przezemnie w sobotę wieczorem rzekomy pan de Funcal jest tym samym Ferragusem, którego policja uważa za zmarłego, poleciłem tropić go jednemu z moich ludzi. Na szczęście przypomniałem sobie nazwisko pani Meynardie, wymienione w liście owej Idy, przypuszczalnej kochanki mego prześladowcy. Posiadając tę nitkę, wysłaniec mój łatwo trafi do kłębka i wyświetli tę straszliwą sprawę, gdyż jest on wiele zręczniejszy w tego rodzaju śledztwach, niż nawet policja.

— Panie, — rzekł Juljusz — nie wiem, jak dziękować panu za powiadomienie mnie o tem. Przyrzeka pan dostarczyć mi dowodów, świadków... Dobrze, będę czekał. Muszę wiedzieć całą prawdę o tej dziwnej sprawie, ale pozwoli mi pan wątpić do tej chwili, dopóki prawdziwość tych faktów nie zostanie udowodniona w sposób niezbity. Bądź co bądź otrzyma pan zadośćuczynienie, gdyż, jak pan rozumie, obaj jednakowo pragniemy satysfakcji.

Juljusz powrócił do domu.

— Co ci się stało? — spytała go żona. — Jesteś blady, jak trup.

— Zimno mi, — rzekł, przechadzając się wolnym krokiem po pokoju, w którym wszystko przypominało minione szczęcie i miłość, po tym miłym, zacisznym pokoju, w którym teraz zapowiadała się śmiertelna burza.

— Nie wychodziłaś dziś? — spytał machinalnie na pozór.

Niewątpliwie do pytania tego skłoniła go ostatnia z tysiąca myśli, które tajemnie przeniknęły do jego rozumowań, niesłychanie wyraźnych, choć pobudzanych przez zazdrość.

— Nie, — odparła, siląc się na spokój.

W tej samej chwili Juljusz zauważył w pokoiku tualetowym żony kilka kropel wody na aksamitnym kapeluszu, który nosiła zwykle przed obiadem. Juljusz był człowiekiem gwałtownym, lecz mimo to wysoce delikatnym, więc nie mógł zdobyć się na przyparcie żony do muru i udowodnienie jej kłamstwa. Zdawałoby się, że po rozmowie z baronem, Juljusz powinien był uważać, iż wszystko między nim a żoną jest już skończone. A jednak te krople wody były dlań światłem, przedzierającem mrok myśli. Wyszedł z pokoju, udał się na dół do odźwiernego i, upewniwszy się, że nikt ich nie słucha, rzekł:

— Fouquereau, dam ci sto talarów pensji dodatkowej, jeśli powiesz prawdę, wypędzę cię, jeżeli mi skłamiesz albo jeżeli, wyznawszy mi prawdę, piśniesz komuś choć słówko o naszej rozmowie.

Umilkł, przyciągnął odźwiernego do okna, aby módz lepiej obserwować wyraz jego twarzy, przyjrzał mu się bacznie i ciągnął dalej:

— Czy pani wychodziła dziś?

— Pani wyszła o trzy na trzecią a wróciła przed pół godziną.

— Z pewnością? Dajesz na to słowo?

— Tak jest.

— A więc otrzymasz pensję, którą ci przyrzekłem; ale jeżeli piśniesz komuś jedno słówko, pamiętaj, com zapowiedział... Stracisz wszystko.

Juljusz powrócił do żony.

— Klementyno, — rzekł, — muszę zaprowadzić nieco ładu w mych rachunkach domowych, nie obraź się więc o to, o co cię spytam! Zdaje się, że od początku roku doręczyłem ci czterdzieści tysięcy franków?

— Nawet więcej, — odparła. — Czterdzieści siedem.

— Czy mogłabyś powiedzieć mi na co je wydałaś?

— Ależ chętnie, — rzekła. — Przedewszystkiem miałam do uregulowania kilka rachunków z poprzedniego roku...

— W ten sposób nie dojdę prawdy, — pomyślał Juljusz. — Źle zabrałem się do rzeczy.

W tej samej chwili ukazał się na progu lokaj i doręczył Juljuszowi list, który ten otworzył niechętnie, lecz który następnie począł czytać z gorączkową ciekawością. List brzmiał:

„Szanowny Panie!

„Dla pańskiego i mojego spokoju postanowiłam napisać doń słów parę, choć nie mam przyjemności znać go osobiście. Lecz moje stanowisko, mój wiek oraz obawa ewentualnego nieszczęścia każą mi zwrócić się do Szanownego Pana i prosić go o wyrozumiałość w ciężkich przejściach, które spotykają naszą rodzinę. Wnuk mój, baron August de Maulincour, zdradza od pewnego czasu objawy rozstroju umysłowego i obawiam się, by nie zakłócił on Pańskiego spokoju swemi rojeniami, o których wspominał nam kilkakrotnie. Pan komandor de Pamiers i ja kilkakrotnie obserwowaliśmy u niego niebezpieczne napady. Uprzedzamy Pana więc o jego chorobie, niewątpliwie w obecnem stadjum jeszcze uleczalnej; będzie ona miała tak ciężkie i poważne skutki dla honoru naszej rodziny i przyszłości mego wnuka, że proszę pana o najzupełniejszą dyskrecję. Gdybyśmy, ja lub pan komandor, mogli udać się osobiście do Szanownego Pana, oszczędzilibyśmy sobie przykrości powierzania papierowi tych rzeczy. Lecz nie wątpię, że nie odmówi Pan prośbie starej babki i spali ten list.

Przyjm Pan wyrazy mego poważania.

Baronowa de Maulincour."

— Co za tortury! — krzyknął Juljusz.

— Ależ co się z tobą dzieje? — spytała żona z żywym niepokojem.

— Doszedłem już do tego, że zapytuję się, czy to nie ty poleciłać przesłać mi ten liścik, aby rozwiać moje podejrzenia, — odparł, rzucając jej list. — Osądź, jak muszę cierpieć!

— Nieszczęśliwy! — rzekła pani Juljuszowa odrzucając list. — Żałuję go, chociaż zrobił mi wielką krzywdę.

— A wiesz, że on mówił ze mną?

— Ach, poszedłeś do niego, pomimo danego mi przyrzeczenia, — rzekła przerażona.

— Klementyno, nasza miłość jest w poważnem niebezpieczeństwie, więc znajdujemy się poza obrębem wszelkich zwykłych praw życia. Zostawmy więc na boku drobiazgi, które toną w morzu wielkich niebezpieczeństw. Słuchaj, powiedz mi, po co wychodziłaś dziś przed obiadem? Kobiety sądzą, że mają prawo popełniać drobne kłamstwa. Często kryją się z niespodziankami, które nam szykują. I ty przed chwilą skłamałaś przedemną. W jakim celu? Pobiegł do pokoiku tualetowego i wrócił stamtąd z jej kapeluszem w ręku.

— Patrz! Choć nie jestem ajentem śledczym, ale muszę snuć pewne wioski. Twój kapelusz zdradził cię. Te plamy pochodzą z kropel deszczu. A zatem jechałaś powozem i zmoczyłaś kapelusz albo, nim doszłaś do fiakra, albo wchodząc do domu, w którym byłaś, albo wychodzac z niego. Ale kobieta może wychodzić z domu w celach najzupełniej niewinnych, nawet po tem, gdy powiedziała mężowi, że nie wyjdzie. Zawsze może się znaleźć tysiąc przyczyn, które każą nam zmienić postanowienie. Wasze zasadnicze prawo, to prawo do kaprysów. Nie jesteście obowiązane być konsekwentnemi. Mogłaś zapomnieć o czemś, o przyrzeczonej wizycie, o odwiedzinach jakiegoś nędzarza, korzystającego z dobroczynności twego kółka. Ale co przeszkadza żonie powiedzieć mężowi, co robiła. Czegoż wstydzić się? Słuchaj, to niezazdrosny mąż, lecz kochanek, przyjaciel, brat błaga cię: powiedz!

Padł jej do nóg.

— Powiedz, nie po to, żeby usprawiedliwić się, lecz, aby uspokoić moje męczarnie. Wiem dobrze, żeś wychodziła. Powiedz! coś robiła? gdzie byłaś?

— Tak, Juljuszu, wychodziłam, — odparła Klementyna głosem wzruszonym, choć z spokojnym wyrazem twarzy. — Ale nie pytaj mnie o nic więcej. Czekaj i ufaj mi, bo inaczej będziesz miał przez całe życie wyrzuty sumienia. Juljuszu, drogi Juljuszu, zaufanie jest cnotą miłości. Przyznaję, że w tej chwili jestem zbyt wzruszona, aby ci odpowiedzieć; ale przecież nie jestem komedjantką, nie kłamię miłości, przywiązania. Czyż to nie powinno ci wystarczyć?

— Nie trudno jest zachwiać wiarę mężczyzny, zbudzić jego zazdrość, podszepnąć mu, że nie jest pierwszym ani jedynym w sercu kobiety... A jednak chcę ci wierzyć... Twój głos, twoje oczy nie potrafiłyby kłamać... Ale, jeżeli zdradzasz mnie, warta jesteś...

— Tysiąca śmierci! — przerwała mu.

— Ja nie ukrywam przed sobą żadnej myśli, a ty, ty...

— Daj spokój! — rzekła. — Spokój całego naszego życia zależy od naszego milczenia.

— Ale ja chcę koniecznie wiedzieć prawdę, — krzyknął w nagłym wybuchu wściekłości.

W tej chwili rozległ się piskliwy głos kobiecy, głos tak cierpki i przenikliwy, że oboje zadrżeli.

— A ja powiadam, że wejdę, bo chcę się z nią zobaczyć. I zobaczę...

Juljusz i Klementyna pobiegli do salonu, gdzie w tej samej chwili z trzaskiem otwarły się drzwi i ukazała się młoda kobieta, za którą podążali dwaj służący. Jeden z nich rzekł:

— Proszę pana, ta kobieta uparła się, że chce koniecznie zobaczyć panią. Powiedzieliśmy jej, że pani niema w domu. Ale nie chce nam wierzyć i krzyczy, że sama widziała, jak pani wchodziła do domu.

— Zostawcie na samych, — rzekł pan Desmarets do służby.

— Czego sobie panna życzy? — zwrócił się do nieznajomej.

Panna owa należała do tego typu kobiet, który spotyka się jedynie w Paryżu. Jest ona wytworem Paryża w tym samym stopniu, co błoto paryskie lub bruk paryski. I podobnie, jak woda z Sekwany przechodzi przez różne filtry i rezerwuary, dziesięciokrotnie oczyszczana, nim znajdzie się wreszcie w karafkach, z błotnistej i mętnej stając się czystą i przezroczystą, — podobnie też istota, która stała w tej chwili przed panem Desmarets przeszła przez liczne filtry, nim nabrała tego specjalnego i mocno podejrzanego szyku, który cechuje paryżankę. Tak, paryżankę, fantastyczną, nieuchwytną, choć dwadzieścia razy uwiecznianą pędzlem malarza, ołówkiem karykaturzysty, fiszorkiem rysownika, zmienną, jak woda, jak natura, jak ten fantastyczny Paryż. W istocie, Paryżanka jedną tylko cząstką swej istoty styka się z rozpustą; lecz tysiączne inne punkty jej *powierzchni społecznej* nader dalekie są od rozpusty.

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.— „ „ 5.— „ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.